

RES HUMANA

Humanizm
Racjonalizm
Kultura świecka

5 /108

2010 r.

DWUMIESIĘCZNIK • ISSN 0867-847X Indeks 33426X • Numer 5 (108) 2010 Rok wyd. XIX • cena 7,00 zł



**HENRYKI
KRZYWONOS**

przesłanie godności

FAKTY • WYDARZENIA • OPINIE

Jerzy J. WIATR

Czego oczekujemy od państwa?

Zdzisław SŁOWIK o awanturniczych działaniach
Jarosława Kaczyńskiego

Wacława MIELEWCZYK o Trybunale
Konstytucyjnym

IDEE I INTERPRETACJE

Zdzisław CACKOWSKI o nienawiści

Jerzy ŁADYKA o filozofii Leszka Kołakowskiego

SCENA POLSKA

Romuald DOBRZENIECKI

O bezdomności w Polsce

Józef KABAJ

O nauczaniu etyki w szkole

Paweł BORECKI

III RP: czy już państwem wyznaniowym?

FORUM FILOZOFICZNO-LITERACKIE

Maria SZYSZKOWSKA, Eugeniusz KABATC,
Wacław SADKOWSKI

Ponadto w numerze m.in.:

O najnowszych książkach, Przegląd czasopism,
Wiersze Stanisławy SZYMKIEWICZ



Spis treści

FAKTY • WYDARZENIA • OPINIE

OD REDAKCJI

Henryki Krzywonos przesłanie godności/ 1

Jerzy J. WIATR

Państwo – oczekiwania i rzeczywistość/ 2

Zdzisław SŁOWIK

Wobec awanturnych działań Jarosława Kaczyńskiego/ 4

Andrzej BIERNACKI

„SOLIDARNOŚĆ”: heroiczny mit, czas jego próby i nadzieja/ 6

Wacława MIELEWCZYK

Przed Trybunałem Konstytucyjnym.../ 7

IDEE I INTERPRETACJE

Zdzisław CACKOWSKI

Nienawiść/ 8

Jerzy ŁADYKA

Czemuż tak trudzicie się filozofowie?/ 14

Radosław S. CZARNECKI

Demencja elit/ 18

SCENA POLSKA

Romuald DOBRZENIECKI

Bezdomność jako problem społeczny/ 22

Józef KABAJ

Etyka w szkole/ 27

Paweł BORECKI

III RP: czy to już państwo wyznaniowe?

(cz. II) / 33

FORUM FILOZOFICZNO-LITERACKIE

Maria SZYSZKOWSKA

Przyszłość ludzkości/ 39

Eugeniusz KABATC

Oda do mądrości/ 41

Wacław SADKOWSKI

Niby-reprintowa historia inkwizycji/ 42

WŚRÓD KSIĄŻEK

Dionizy TANALSKI

Gdzie się kończy człowiek?/ 45

Radosław S. CZARNECKI

Holizm ateizmu/ 47

Joanna RUTKOWSKA

Kobieta maluje papieża/ 49

WŚRÓD CZASOPISM

Ksawery S. PIWOCKI

GAZETA WYBORCZA, PRZEGLĄD/ 50

OPINIE OBYWATELSKIE / 52

i III str. okł.

Henryk Jan MIELCAREK

Poznań

Walentyna MIODUSZEWSKA

Warszawa

WIERSZE i AFORYZMY

Stanisława SZYMKIEWICZ

Adam KĘDZIERAWSKI

REDAKCJA: Mariusz AGNOSIEWICZ, Zdzisław CACKOWSKI, Marek JAWORSKI, Władysław LORANC, Jerzy ŁADYKA, Wacława MIELEWCZYK – sekretarz redakcji, Lech M. NIJAKOWSKI, Wacław SADKOWSKI – z-ca redaktora naczelnego, Zdzisław SŁOWIK – redaktor naczelny, Dionizy TANALSKI, Zbigniew WOJTKOWIAK, Daniel. S. ZBYTEK.

ADRES REDAKCJI: 00-553 Warszawa, ul. Koszykowa 24, tel. 625-44-69.

E-mail: reshumana@tlen.pl

WYDAWCA: Rada Krajowa Towarzystwa Kultury Świeckiej im. Tadeusza Kotarbińskiego.
www.kulturaswiecka.pl

Druk: Drukarnia Nr 1 w Warszawie, ul. Rakowiecka 37. Nakład – 1000 egz.; stawka VAT „0”.

FAKTY WYDARZENIA OPINIE

Henryki Krzywonos *przesłanie godności*

Publikujemy niżej wystąpienie Henryki KRZYWONOS, legendarnej uczestniczki wydarzeń sprzed trzydziestu lat w Stoczni Gdańskiej, jej pełne wzruszenia i odwagi przesłanie godności, przesłanie wypowiedziane dobitnie, mimo prób odebrania Jej głosu, mimo i wobec zorganizowanej nikczemności, wobec fali fanatyzmu i nietolerancji, która dziś urosła w Polsce do wielkości zagrażającej jej fundamentom.

Przesłanie Henryki KRZYWONOS to dzwon alarmowy, to wezwanie do opamiętania tych, którzy fanatyzm i nienawiść uczynili programem swojej działalności.

Dziękujemy Pani za to przesłanie, dziękujemy za jego wielką godność, dziękujemy za przesłanie prawdy.

Redakcja RES HUMANA

„Pan, panie prezesie, niszczy godność Lecha”

Jestem sygnatariuszem Porozumień Sierpniowych, to ja zatrzymałam komunikację miejską w Gdańsku. Jak pamiętają moi koledzy, wszyscy żeśmy się bali. Później żeśmy się cieszyli i myśleliśmy o tym słowie – „Solidarność”.

Słucham pana prezesa Jarosława Kaczyńskiego i powiem szczerze – jestem zwykłą kobietą, więc jakbym miała was obrazić, to z góry przepraszam. Krew jaśnieja zalewa, bo przecież obraża nas tu wszystkich...

(Gwizdy i okrzyki z sali.)

Momencik, ja powiem, wtedy będziecie gwizdać, nie pozwolę sobie przekrzyczeć...

Na tej sali są ludzie z PiS, których bardzo szanuję, mam w nimi stały kontakt, są też ludzie z Platformy, których szanuję. Siedzą tu koledzy, którzy byli ze mną w Stoczni, są koledzy ze Szczecina, Poznania, Wrocławia itd.

Nie pozwolę sobie zakrzyczeć, więc pozwólcie, że po 30 latach powiem to, co mam do powiedzenia. Powiem to.

Słowo „solidarność” zobowiązuje. Tu jest telewizja i nasze dzieci oglądają to wszystko, co my żeśmy sobie wywalczyli po 30 latach – gwizdy, nieszanowanie ludzi, którzy tam byli ...

(Z sali – A kto nas szanuje?)

Ja was wszystkich szanuję, wszystkich, ale nie pozwolę sobie przekrzyczeć. Więc co mam do powiedzenia to i tak powiem, wybaczcie. W naszym kraju powinniśmy szanować ludzi bez względu

na to, jacy są, bo na tej sali są wszyscy nasi koledzy, wszyscy razem walczyliśmy – prezydent, premier, pan prezes PiS i Leszek Kaczyński również. Mam go głęboko w sercu. Jest tutaj Tadeusz Mazowiecki, pierwszy premier wolnej Polski. Ci panowie, Lech Kaczyński i Tadeusz Mazowiecki, wspomagali strajk. Dzisiaj słyszę, jeden z panów mówi, że Lech to zrobił, a ten drugi nie.

Na tej sali jest jeden pan, który był głową strajku w Gdańsku, bez niego nic by się nie stało – Bogdan Borusewicz. I są następni panowie, którzy jeśliby nie zaczęli, to nie zaczęłabym i ja: Felski, Borowczak, Kołodziej w Gdyni, Jurek Kmieciak i Józek Przybylski – i wielu, wielu innych, których nie wymienię. Chylę przed wami nisko czoła. My żeśmy sobie wywalczyli wolność, ale nie zapominajcie o jednym – wolność słowa również, więc możemy mówić, co nam ślina na język przyniesie...

(Janusz Śniadek: - Pani Henryko, dziękujemy bardzo.)

Nie, ja i tak powiem, co mam do powiedzenia, nie wstrzymaj mnie pan. Kiedy stanął tutaj Donald Tusk i powiedział, że on pracował wśród was, wygwizdujecie człowieka, który dla was pracował wtedy, jest waszym kolegą...

(Janusz Śniadek: - Pani Henryko, bardzo dziękuję za głos.)

W zeszłym roku byłam w Świnoujściu na Karuzeli Cooltur (festiwal kultury). Wyobraźcie sobie, wśród...

(Janusz Śniadek: - Pani Henryko, czekają goście.)

Muszę to powiedzieć. Czekałam 30 lat, żeby można było powiedzieć...

(Janusz Śniadek: - Dziękuję, pani Henryko, dziękujemy pani.)

Wyobraźcie sobie, że wśród ludzi, którzy tam byli, a było ich więcej niż was, wyszedł 1 człowiek i powiedział: „Pani Heniu, ja mam pytanie, czy wy jesteście w stanie w 30. rocznicę wszyscy wejść na jedną salę i miło spędzić czas?”

(Z sali: - Zależy z kim...)

Odpowiedziałam mu: Wie pan, „solidarność” to jest słowo, które zobowiązuje. Prawda? Zobowiązuje. Więc ja was bardzo proszę, zachowajmy się jak ludzie, bo to żeśmy sobie wypracowali.

(Janusz Śniadek: - Dziękujemy pani bardzo.)

A pan, panie prezesie (do Jarosława Kaczyńskiego), bardzo pana proszę, żeby pan nie buntował ludzi przeciwko sobie. Nie wiem, co się panu stało...

(Janusz Śniadek: - Dziękujemy bardzo.)

Ja panu bardzo współczuję, ale proszę współczuć innym i dać im normalnie żyć, bo wszystko, co pan robi, bardzo mnie obraża. Pan niszczy godność Lecha, to pan ją niszczy, dołuje, naprawdę tak się dzieje. Dziękuję.

Przedruk z „GAZETY WYBORCZEJ” (numer z 31 sierpnia 2010 r.).

PAŃSTWO – oczekiwania i rzeczywistość

Czego oczekujemy od państwa? Jak nasze oczekiwania mają się do rzeczywistości? A także: jak się mają do naszej sytuacji i miejsca zajmowanego przez nas w społeczeństwie?

Są to problemy stare. Wracają ostatnio dlatego, że kryzys gospodarki światowej postawił pod znakiem zapytania przekonanie neoliberalnych ekonomistów, że im mniej państwa w gospodarce i w życiu społecznym, tym lepiej. Rozważmy tę sprawę raz jeszcze.

Odróżnić trzeba trzy sfery: (1) tę, w której państwo odgrywać musi rolę głównego organizatora działań zbiorowych, (2) tę, gdzie państwa powinno nie być, i (3) tę, w której państwo może i powinno być jednym z głównych – ale nie jedynym – podmiotem działającym.

Sfera pierwsza to te działania, które są niezbędne dla zapewnienia wewnętrznego i zewnętrznego bezpieczeństwa: wojsko, dyplomacja, wymiar sprawiedliwości, policja. Tu nikt państwa nie może wyrę-

czyć, a zaniedbanie którejs z tych dziedzin byłoby groźne dla obywateli. Thomas Hobbes w realizacji tych funkcji widział uzasadnienie dla samego istnienia władzy państwowej.

Sfera druga to wszystkie te obszary życia, które uznajemy za prywatne, a więc wolne od ingerencji państwa. Nowoczesne demokratyczne państwo samo się w tych dziedzinach ogranicza, czym zasadniczo różni się od wszelkiego rodzaju ideologicznych czy religijnych dyktatur. Państwo demokratyczne pozostawia obywatelom sferę wyznania czy przekonań światopoglądowych, nie narzuca im norm moralnych czy sposobu, w jaki organizują swoje życie prywatne, pod warunkiem wszakże, że nie przeszkadza to innym w układaniu sobie życia według ich woli.

Zasada oddzielenia sfery prywatnej i sfery publicznej rodziła się stopniowo, gdyż społeczeństwo przednowoczesne uważało za coś oczywistego to, że władca określał, jaką religię wyznawać mieli jego poddani i jakie normy moralne obowiązywać miały wszystkich poddanych. Demokratyczna zasada oddzielenia tego, co publiczne, od tego, co prywatne, rodziła się powoli. Jeszcze dziś nie jest ona lub bywa kwestionowana – zwłaszcza przez różnego rodzaju ruchy fundamentalistyczne. Obroną tej zasady motywowane jest działanie na rzecz świeckości państwa.

Najtrudniej rozgraniczyć to, co powinno być sferą działania państwa, od tego, co powinno być sferą działania organizacji pozapaństwowych lub poszczególnych obywateli, w tych dziedzinach, które ani nie są w pełni podporządkowane państwu, ani nie są programowo pozostawione poza jego zasięgiem. Cała gospodarka, a także wiele innych dziedzin – między innymi edukacja, służba zdrowia, kultura – wymagają łączenia tego, co państwowe i tego, co społeczne.

W zasadzie godzimy się z tym, że takie rozgraniczenie jest konieczne, ale spieramy się o to, jak przeprowadzić rozgraniczenie. Nikt już obecnie nie domaga się, by państwo organizowało całe życie gospodarcze, ale ci, którzy chcą z gospodarki całkowicie wyrugować państwo, traktowani są jako ekscentryczni dziwacy. Pytanie, które trzeba postawić, brzmi: „Ile państwa w gospodarce”, nie zaś, czy państwo ma w ogóle być w gospodarce obecne.

Ochrona zdrowia wymaga działań państwowych, choć bywają kraje, gdzie ta zasada przebiega się z ogromnymi trudnościami. W USA dopiero Barack Obama był w stanie przeforsować ustawę o powszechnym ubezpieczeniu zdrowotnym, co zresztą nie przeczy faktowi, że w Stanach Zjednoczonych służba zdrowia jest w przeważającej mierze w rękach prywatnych firm lub osób.

Edukacja prowadzona przez państwo jest wynalazkiem stosunkowo nowym. Uważa się, że demokratyczne państwo ma obowiązek zapewnić dzieciom i młodzieży pewne minimum oświaty, ale zakres obowiązków państwa w tej dziedzinie bywa bardzo różny. Konstytucja z 1997 ustanowiła długi okres obowiązku szkolnego (do ukończenia osiemnastu lat) i zobowiązała władze państwowe do zapewnienia bezpłatnej nauki w szkołach publicznych. Nie wyklucza to jednak istnienia szkół niepublicznych. Podobnie konstytucyjny obowiązek zapewnienia obywatelom ochrony zdrowia nie wyklucza istnienia prywatnej służby zdrowia. To samo dotyczy kultury, transportu, łączności i innych dziedzin życia.

Istnieją znaczne różnice zdań co do tego, jak dalece państwo powinno być obecne w tych dziedzinach życia. Dyskusja na ten temat przedstawiana jest często jako pragmatyczna, podobnie jak debata na temat tego, kto najlepiej poradzi sobie z określonymi zadaniami. Nie lekceważę tego aspektu sprawy, ale nie jest to jedyny istotny punkt widzenia.

W sporze o zakres obecności państwa odzwierciedlają się rozbieżne interesy klas i warstw społecznych, gdyż od sytuacji materialnej zależy, jak dalece państwo jest nam potrzebne, a nawet niezbędne. Im słabsza jest pozycja ekonomiczna jednostki, tym bardziej w jej interesie leży interwencjonizm państwowy.

Analiza zróżnicowania ekonomicznego pokazuje, że jest ono najmniejsze tam, gdzie państwo prowadzi aktywną politykę gospodarczą i społeczną – na przykład w państwach skandynawskich. Interwencjonizm państwowy ma na celu dokonanie częściowej redystrybucji dochodu narodowego w interesie grup ekonomicznie słabszych. Dlatego neoliberalne koncepcje nie są neutralne społecznie. Są wyrazem interesów grup ekonomicznie silniejszych. Postulaty ekonomiczne kierowane pod adresem władz państwowych są wyrazem przekonania, że biedniejsi sami sobie nie poradzą. **Dlatego nie można wyobrazić sobie skutecznych działań na rzecz zwiększania zakresu sprawiedliwości społecznej bez aktywnej roli państwa w gospodarce.**

Państwo jest niezbędne w tych dziedzinach, w których sami obywatele lub organizacje niepubliczne nie są w stanie rozwiązywać problemów w sposób sprawiedliwy i efektywny. Tak zwana kultura wyższa nie przetrwałaby bez mecenatu państwowego. Podstawowa opieka zdrowotna musi być zapewniana przez państwo, gdyż większości obywateli nie stać na to, by leczyć się wyłącznie na własny koszt.

Opiekuńcze funkcje państwa są atakowane jako rzekomo marnotrawne. Jest to poważny problem, gdyż nieuchronny wzrost nakładów w tych dziedzinach (głównie wynikający z pojawiania się nowych potrzeb i nowych sposobów ich zaspokojenia) powoduje rosnące obciążenia, tych zaś nie da się powiększać bez końca. Nie ma to jednak nic wspólnego z pomysłami, by państwo wycofywało się z tych obszarów.

Paradoks polski polega na tym, że równocześnie padają żądania ograniczenia roli państwa w gospodarce i służbach społecznych oraz żądania ich wzmacniania tam, gdzie państwa powinno być jak najmniej – w sferze przekonań religijnych i światopoglądowych i wynikających z tych przekonań norm postępowania. Ten dziwny pseudoliberalizm jest być może reakcją na to, że w nie tak odległych czasach państwo socjalistyczne usiłowało organizować niemal całe życie gospodarcze i społeczne, zarazem zaś uważało za swoje prawo indoktrynować obywateli w duchu oficjalnej ideologii. Ten rodzaj wszechwładzy państwa należy już do przeszłości. **Dziś zagrożenie dla interesu publicznego tkwi gdzie indziej: w nadmiernym wycofywaniu się państwa z tych obowiązków, których nie powinno ono z siebie zrzucić a zarazem w uzurpowaniu sobie prawa do forsowania określonego, religijnego, systemu wartości.** Te właśnie sprawy wymagają poważnej dyskusji.

Jerzy J. WIATR

WOBEC AWANTURNICZYCH DZIAŁAŃ Jarosława Kaczyńskiego

Jednomyślne oświadczenie z pierwszych dni września br. przedstawicieli trzech klubów parlamentarnych – Platformy Obywatelskiej, Sojuszu Lewicy Demokratycznej i Polskiego Stronnictwa Ludowego w związku z kłamliwymi enuncjacjami prezesa PiS Jarosława Kaczyńskiego, w których zakwestionował niepodległy charakter naszego państwa uznając go za „kondominium rosyjsko-niemieckie”, ponownie obrzucił inwektywami najwyższych przedstawicieli RP i ujawnił swoją główną rolę inspiratora awantury z krzyżem pod Pałacem Prezydenckim – tworzy nową sytuację polityczną w kraju. Stwarza przesłanki do postawienia na porządku dnia fundamentalnych pytań: **jak długo mamy nadal tolerować tę agresję, tą z premedytacją podsycaną wojnę między Polakami, jak długo mamy tolerować zachowania bezceremonialnie łamiące elementarne zasady debaty publicznej w państwie demokratycznym, jawnie godzące w jego bezpieczeństwo?**

Choć nie od dziś znane są dobrze ekscesy tego polityka skrajnej prawicy, często politycznego kameleona, choć dobrze pamiętamy jego nieprzerwanie prowadzoną wojnę z historycznymi ustaleniami Okrągłego Stołu, jego twórcami i budowniczymi III RP, choć dobrze pamiętamy jego żądania szubienicy dla Wojciecha Jaruzelskiego oraz usunięcia raz na zawsze SLD z życia politycznego, choć dla wielu wciąż traumą pozostają dwa lata jego rządów tzw. IV RP czy podjęta próba upokorzenia wielkiej części polskiej inteligencji w ramach osławionych krucjat lustracyjnych i dekomunizacyjnych – to całe jego dotychczasowe awanturnictwo polityczne uległo nowej jakościowo radykalizacji po katastrofie smoleńskiej i przegranych, choć liczył bardzo na zwycięstwo w wyborach prezydenckich. **Zamiast rozliczyć się uczciwie, ale i godnie z własnej i niepośledniej roli w obu tych wydarzeniach, zamiast zakończyć wojnę polsko-polską wywołał jej nową, groźną falę.**

Nadszedł moment, aby tej fali stawić wreszcie opór, nadszedł czas odpowiedzieć sobie na kilka pytań o naturę i czynniki pozwalające tak długo i z taką konsekwencją działać Kaczyńskiemu w polskim życiu publicznym. Choć znamy już wiele odpowiedzi na te pytania, choć wiemy, że mamy do czynienia z politykiem o wielu twarzach, to wiemy zarazem, że to polityk, którego, po pierwsze, wizją jest stworzenie autorytarnego państwa narodowo-klerykałnego, władzy podejrzliwej i budzącej strach, władzy łamiącej zasady jej trójpodziału, a więc burzącej fundament władzy demokratycznej; po drugie, że to polityk zdolny zarazem do cynicznego wykorzystywania istniejących mechanizmów demokratycznych do tego, aby je bezceremonialnie burzyć; to po trzecie, polityk dla którego ogólnoludzkie, a nawet chrześcijańskie zasady i normy moralne, niewiele znaczą, a jeśli już coś znaczą to tylko jako instrumenty zdobycia autorytarnej władzy; to po czwarte, człowiek żądający bezwzględności wobec siebie posłuszeństwa i fenomenalnej pamięci o wszystkich, którzy myślą inaczej niż on po to, aby ich zwalczać; to wreszcie polityk, który – w ostatnich zwłaszcza miesiącach – posunął się do żądania usunięcia „na zawsze” z życia publicznego najwyższych przedstawicieli naszego państwa, osób wybranych demokratycznie, co uznać trzeba za **akt jawnego działania antypaństwowego**.

Jeśli do wzmiarkowanego tu w wielkim skrócie „dekalogu Kaczyńskiego” dodać jeszcze to, iż kierowana przez niego partia Prawo i Sprawiedliwość, jako opozycyjna partia parlamentarna o znacznej sile, jest opozycją skrajnie dekonstruktywną, całkowicie niezdolną do jakichkolwiek porozumień czy kompromisów na tym szczególnym forum wymagającym szukania, ponad podziałami, tego co wspólne i dobre dla społeczeństwa i państwa, to narzuca się wniosek, iż poprzez działalność tej partii i jej parlamentarnej reprezentacji mamy do czynienia nie z klasyczną siłą opozycyjną, co ze strukturą antysystemową. Można powiedzieć o paradoksie historii: oto „Solidarność,” walcząca z systemem PRL znalazła dziś w partii Kaczyńskiego osobliwą kontynuację, siłę walczącą z Polską zrodzoną z idei tej właśnie „Solidarności”.

Wbrew opiniom wypowiedzianym przez wysokich przedstawicieli PO, rządu i niektórym publicystom bagatelizującym ostatnie działania Kaczyńskiego, wbrew opiniom, że ta działalność ma sprzyjać wysokiemu społecznemu poparciu ekipy rządzącej, co zresztą jest faktem, to jednak nie może z tego wynikać dalsze pobbazanie dla destrukcyjnych działań tej antysystemowej siły politycznej, która w rękach Jarosława Kaczyńskiego zdolna jest już dziś do aktywnego podgrzewania wojny polsko-polskiej, a jutro może stanąć na czele, pod byle pozorem, buntu społecznego o sile trudnej dziś do przewidzenia.

Dla młodej polskiej demokracji to wielkie, jak sądzę, wyzwanie, wzrastające z każdym dniem: oto bowiem dowiedzieliśmy się z kolejnej enuncjacji lidera PiS, że tę partię, a w domyśle – i jego samego, historia uczyniła „depozytariuszami wartości narodowych”. Tej chorobliwej megalomanii i arogancji, pełnej pychy i buńczuczności grożenie wszystkiemu i wszystkim, co niezgodne ze swoistością jego umysłu, tej działalności, którą – nie waham się nazywać – pebbazająca kontrrewolucja, czas najwyższy powiedzieć NIE! Czas skończyć z pobbazliwością bez granic rozsądku, praktyką, która – widać to coraz wyraźniej – tylko rozzuchwała go, niczego nie ucząc.

Oczywiście nikt rozsądny nie będzie żądał, jak on sam wobec innych, aby „raz na zawsze” zniknął z polskiego życia publicznego. Bo jego sposób widzenia świata i myślenia, jego populistyczny styl uprawiania polityki, wspierany ostatnio jednoznacznie przez poważną część polskiego Kościoła katolickiego, jest wciąż bliski znacznej części społeczeństwa polskiego. To realny fakt, z którym demokracja musi się liczyć, aby nie sprzeniewierzyć się własnym wartościom. To wszystko razem jest dla polskiej demokracji poważnym wyzwaniem, wymagającym tyle zdecydowania i stanowczości, co umiaru i roztropności.

Wspomniane na początku tej refleksji wspólne oświadczenie trzech klubów parlamentarnych Sejmu może i powinno być punktem istotnym w zjednoczeniu wszystkich sił demokratycznych wobec awanturniczych działań Jarosława Kaczyńskiego wymierzonych w bezpieczeństwo naszego państwa.

Świeccy humaniści, dla których sprawy obrony państwa demokratycznego, tolerancyjnego i budującego swoją przyszłość w warunkach społecznego spokoju jest imperatywem najwyższym, nie uchylą się od aktywnego udziału w narodowym froncie sprzeciwu wobec zła, które sieje bez opamiętania i nie od dziś lider PiS. Ale dziś nasz sprzeciw musi być zdecydowany i skuteczny, aby nie żałować błędu własnego zaniechania.

Zdzisław SŁOWIK

„SOLIDARNOŚĆ”: heroiczny mit, czas jego próby i nadzieja

Nawet najbardziej zaangażowani uczestnicy owych dni sprzed trzydziestu lat, może z niewielkimi wyjątkami, nie mogą uznać za udane obchodów 30. rocznicy podpisania tzw. porozumień sierpniowych pomiędzy NSZZ „Solidarność” a ówczesnym rządem, które, przypomnijmy, po niespełna dziewięciu latach doprowadziły do upadku ówczesnego rządu i objęcia władzy przez „Solidarność”, do głębokich przemian w Polsce, w Europie i na świecie.

Ale dla uczestników tegorocznego zjazdu „Solidarności” nie te wydarzenia były warte uwagi i poważnej refleksji, lecz cele zupełnie inne: zapraszając na to zgromadzenie najwyższych przedstawicieli państwa urządzili im pokaz arogancji i zwyczajnego chamstwa, zakończonego wołaniem, tuż po opuszczeniu zgromadzenia przez prezydenta i premiera RP, że oto teraz ich zjazd „Jest Polską”. To wołanie dobrze wpisując się w ton wystąpienia lidera PiS na tym zjeździe, choć „zakłócone” odważnym, wręcz dramatycznym głosem Henryki Krzywonos-Strycharskiej, legendarnej działaczki gdańskiej „Solidarności”, ujawniło raz jeszcze, ale tym razem szczególnie dobitnie, ciężką chorobę tego związku, jego stan, który coraz mocniej podgrzewany przez obecnych bossów związku, staje się w rosnącym stopniu wyzwaniem dla państwa, u kolebki którego stała „Solidarność” trzydzieści lat temu.

Owa ciężka choroba obecnej „Solidarności”, a wiemy to na podstawie coraz większej wiedzy o jej dotychczasowej drodze, polega na dramatycznym konflikcie ról pełnionych przez ten związek – roli związku zawodowego, obrońcy interesów socjalnych różnych grup pracowniczych a ruchem o bardzo wygórowanych ambicjach politycznych, czego przykładem było przekształcenie się tego związku zawodowego ponad dziesięć lat temu w Akcję Wyborczą „Solidarność”, partię, która odniosła nawet sukces wyborczy, aby po czterech latach nieudanych rządów zniknąć z polskiej sceny życia politycznego.

Ale lekcji tego doświadczenia „Solidarność” nie odrobiła. Oto bowiem nowa generacja jej przywódców, ci sami, co zorganizowali tegoroczne odchody rocznicowe, podjęli na nowo grę kartami politycznymi, świadomie wybierając dziś rolę klienta, a może i ważnego ramienia PiS. Nikt rozsądny, nie może, oczywiście, odmówić związkowi zawodowemu, szukania wsparcia swych postulatów przez tę czy inną partię polityczną. W tym konkretnym przypadku problem polega jednak na tym, że „opiekunem” związku zawodowego wybrana zostaje partia pozostająca w skrajnej opozycji wobec obecnego rządu, co w sposób automatyczny tworzy sytuację bardzo trudną do pogodzenia dla wszystkich stron. W ten sposób dokonany przez Janusza Śniadka i jego otoczenie wybór oznacza, że NSZZ „Solidarność” staje się częścią antyrządowego frontu sił politycznych, tego rządu, którego wielu najwybitniejszych dziś przedstawicieli było ojcami – założycielami „Solidarności”, jego wybitnymi działaczami, tymi, którzy jak premier Donald Tusk, wciąż pozostają wierni jej etosowi, jej dziedzictwu, i którzy z przerażeniem widzą postępujące rujnowanie bliskiego mi dziedzictwa.

Proces degradacji etosu obserwują z uwagą także ci, których związki z „Solidarnością” były nikłe lub żadne, lecz którzy dziś bez żadnej satysfakcji, lecz w poczuciu odpowiedzialności ze smutkiem konstatują kolejny paradoks historii i wszystkie możliwe następstwa owej ciężkiej choroby obecnej „Solidarności” dla sprawy Polski.

Choć trudno rokować o dalszym przebiegu tej choroby czy jej kolejnych fazach, jedno można powiedzieć: oto na oczach świadków najnowszej polskiej historii upada heroiczny mit, zrodzony z autentycznej nadziei, w znacznym stopniu spełnionej lecz wcale, jak samo słowo SOLIDARNOŚĆ, nie wygasłej; nadziei wołającej o prawo do istnienia mimo próby jakiejś doświadcza współcześnie.

Andrzej BIERNACKI

PRZED Trybunałem Konstytucyjnym...

Instytucję sądów czy trybunałów konstytucyjnych uznaje się dziś powszechnie za istotny element konstrukcji państw demokratycznych, za czynnik umacniający klasyczną zasadę trójpodziału władz i ich równowagę, za element „chronienia demokracji przed przekształceniem jej w dyktaturę i chronienia obywateli przed szkodami, jakie mogą ponosić w wyniku działania władz”.

Tak określił rolę polskiego Trybunału Konstytucyjnego prezydent Bronisław Komorowski w wystąpieniu 15 września 2010 r. na dorocznym Zgromadzeniu Ogólnym Sędziów Trybunału Konstytucyjnego. I w tym tyle lapidarnym, co ważnym stwierdzeniu zawiera się też oczekiwanie jakie z działalnością tego organu konstytucyjnego wiąże państwo i społeczeństwo. A to oczekiwanie jest dziś bardzo wysokie z kilku ważnych powodów, lecz głównie z powodu bardzo trudnej sytuacji w jakiej znalazł się Trybunał w wyniku podjętej przez rządy PiS walki z tzw. „impossibilizmem prawnym”, która doprowadziła do jego marginalizacji, a także do paraliżu podstawowego instrumentu działania Trybunału jakim jest jego orzecznictwo.

W Trybunale zwyciężył duch ideologii, który zastąpił ducha praw, w rezultacie czego doszło do sytuacji w której Trybunał nie jest obecnie w stanie wydać wyroku, bo głosy rozkładają się po równo (np. w sprawach związanych z rozliczeniem przeszłości). Wzrosła także liczba odrębnych zdań od wyroków (część składu sędziowskiego nie zgadza się ze zdaniem większości), czego przykładem stały się ostatnie orzeczenia Trybunału w sprawie braku lekcji etyki w szkole czy uznania za zgodną z konstytucją praktykę wliczania stopnia z religii do średniej oceny ucznia na świadectwie szkolnym. Skalę tego zjawiska obrazują liczby: oto w okresie trzech ostatnich lat (2006–2009) liczba „zdań odrębnych” wzrosła w stosunku do liczby orzeczeń z 3 do 23 procent.

Powiedzmy dobitnie: Trybunał Konstytucyjny w Polsce znalazł się na rozdrożu. Albo w najbliższych miesiącach i latach dokona się, po zakończeniu kadencji wielu obecnych wybitnych jego sędziów (m.in. prof. Ewy Łętowskiej), taka zmiana, która zapewni nie tylko ciągłość działania i stabilność orzeczeń Trybunału albo Trybunał popadnie w stan, który może stać się, w najgorszym scenariuszu, czynnikiem nie sprzyjającym harmonijnemu funkcjonowaniu władz państwowych.

Aby tak się nie stało Trybunał czeka ją reformy. Sprawą kluczową jest kwestia wyboru sędziów, taki jego sposób – a dyskusja na ten temat już trwa – aby zapewnić wybór osób nie tylko o najwyższych kwalifikacjach sędziowskich, ale zarazem takich, którzy zdolni będą do zachowania pełnej niezawisłości, będą wolni od wszelkich nacisków (ze strony władz państwowych, partyjnych czy Kościoła), i którzy z „cnoty dzielności etycznej” (to sformułowanie dotychczasowego prezesa Trybunału dr Bohdana Zdziennickiego) uczynią drogowskaz swych tyle suwerennych, co wyprowadzanych z ducha i litery prawa orzeczeń Trybunału.

Chociaż bezpośrednia dostępność poszczególnego obywatela do progów Trybunału jest, ze zrozumiałych powodów, w istocie niemożliwa, to jednak ci sami obywatele, korzystając z pośrednich mechanizmów kontaktu, mają głębokie przeświadczenie o wielkiej roli Trybunału i wadze jego orzeczeń. Z tym większą nadzieją oczekują, że po wyborze nowego prezydenta RP i po gorzkich lekcjach nieodległej przeszłości, Trybunał Konstytucyjny powróci do sił, stając się silnym wsparciem ważnych reform i zmian w polskim życiu, zmian sprzyjających umacnianiu w życiu zbiorowym humanistycznych wartości tolerancji, wsparciem dla wysiłków, które doprowadzą do zakończenia wojny polsko-polskiej, do wejścia na drogę konstruktywnego dialogu władzy, opozycji i Kościoła w sprawach, które nie mogą dzielić, lecz muszą łączyć wszystkich obywateli naszego państwa.

Wacława MIELEWCZYK

IDEE I INTERPRETACJE

Zdzisław CACKOWSKI

Nienawiść

1

Zgodnie z myślą G. W. Leibniza nic nie jest bez racji, nienawiść także. A źródła nienawiści znajdują się co najmniej na trzech poziomach: na poziomie stosunków społecznych oraz na poziomie ludzkich emocji, które są – w zasadzie – obrazem stosunków społecznych, wreszcie na poziomie „kozła ofiarnego”.

Sprawa pierwsza – stosunki społeczne: PAN – niewolnik, PAN – chłop (w istocie także niewolnik), PAN – robotnik. Czy niewolnik, chłop, robotnik może kochać PANA? Raczej nie; ma on wobec PANA różne formy niechęci, łącznie z zazdrością, a nawet nienawiścią.

Sprawa druga – ludzkie emocje: lęk, strach, trwoga; niechęć, zazdrość (wobec różnicy w poziomie życia PANA i niewolnika, chłopca, robotnika!); poczucie posłuszeństwa i zagrożenia wobec PANA,... Nie przypadkowo Marcin Luter w „Małym katechizmie”, gdy wymienia poszczególne punkty Dekalogu, to w każdym punkcie powtarza się jedna myśl: „Co to znaczy? To znaczy, że trzeba Boga bać się i miłować Go”. Tak samo jest z każdym PANEM: trzeba się go bać i miłować Go, albo udawać, że się Go miłuje!

Ale nie tylko emocje zbliżone do nienawiści wspierają nienawiść. Nienawiść wspierają także emocje jej przeciwne, w tym także miłość: miłość do swoich (i do swoich wartości) i lęk oraz wręcz nienawiść do obcych, do wrogów oraz do obcych wartości...!

Sprawa trzecia – „kozioł ofiarny”. Zajmuje się tą sprawą René Girard – Francuz, ale od 1947 roku pracuje w Stanach Zjednoczonych. Przesłanką szukania „Kozła ofiarnego” jest zawsze jakiś kryzys społeczny (jakaś epide-

mia albo walenie się stosunków społecznych”) i wtedy szuka się „kozła ofiarnego”, szuka się kozła ofiarnego albo dlatego, że nie wiadomo skąd ta plaga się bierze, albo dlatego, że chce się ukryć realne jej źródło, które często władców obciąża. „Kozła ofiarnego” zwykle szuka się wśród słabych, bowiem mocny by się nie poddał, odparłby atak.

Bardzo pięknie wyraził całą teorię René Girarda La Fontaine w bajce „Rada zwierząt”. Cały świat zwierząt źle się czuje, traci apetyt, żyć się zwierzętom nie chce. Więc król zwierząt (Lew) zwołuje radę i ogłasza, że bogowie się „na nas” obrazili, musieliśmy nagrzeszyć i wzywa wszystkich do spowiedzi. Sam ją zaczyna: oj nażarłem tych owiec, oj nażarłem, a i pastuchów też. Na co inny drapieżnik (lis!) wyskakuje i woła: „Królu, jak Ty tak możesz”, przecież to zaszczyt dla tych baranów, żeś je pożerał, a tych pastuchów, to wszystkich należało ze skóry obdrzeć. No to może ja, powiada drapieżnik,... Wreszcie wychodzi osiołek i powiada, że on też nie jest bez grzechu: szedł kiedyś o zmroku przez kamedułów łączkę i coś go podkuśliło, więc skubnął „poświęconą” trawkę. I wtedy wszystkie zwierzęta zakrzyknęły „co za zbrodnia, roztargać na ćwierci!” i osiołka rozszarpały. W każdym razie „spowiedź” zaczyna król – lew, a kończy najstraszniejszy zbrodniarz – osiołek, który skubnął trawkę ze „święconej kamedułów łąki”, „Zatem na osła padł wyrok śmierci: Żywem roztargać na ćwierci”. I tak się stało!

Zacytuję najważniejszą część tej bajki:

*«Co się więc tyczy najpierw mnie samego,
Wyznaję, i żem dość poczynił złego.
Nieraz bez prawa żadnego napadłem
Na cudze stada i sędziżkie siola,*

*Bydłąt niewinnych tysiące pojadłem,
 Cóż mi te, proszę, zrobiły? Nic zgoła.
 Nawet zjadalem [jeśli wyznać szczerze]
 Pasterze.
 Jeżeli tedy ze mnie jest potrzeba,
 Pójdę sam za was na ofiarę nieba;
 Lecz sądzę, by rzetelnie, jakem ja uczynił,
 Każdy z was równym siebie sposobem obwinił;
 Bowiem podług słuszności życzyć nam należy,
 By zginął najwinniejszy.» A wtem lis wybieży
 Na środek koła: «Miłościwy panie,
 Skrupuł ci – rzecze – podał to wyznanie,
 I cóż to za grzech, uważcie, zwierzęta,
 Jeść niewolnicze i głupie bydłata?
 I owszem, dla nich honor czynisz, panie,
 Jeśli się które na pokarm dostanie.
 Co zas pasterze, o! ci wszyscy warci,
 By żywcem byli ze skóry obdarcia!
 To są tyrani, co w srogiej zniewadze
 Chcą mieć nad nami chimeryczną władzę.»
 To lis wymówił, a pochlebce mili
 Zgodnie toż samo stwierdzili.
 Nie chciano zatem zbytnio przetrząsać i innych
 Potężniejszych mątedor, choć najbardziej winnych,
 Ni zajądłość lamparta, ni tygrysa zbrodnie –
 Względ miano na każdego, kto broił swobodnie.
 Zgoła wszystkie zwierzęta, lubo grzeszne były
 Za mniej winnych, za świętych jednak się sądziły.
 Nareszcie osioł w podobnym sposobie
 Zaczyna spowiedź: «Przypominam sobie,
 Iżem raz – rzecze – o wieczornej chwili
 Szedł po święconej kamedulów łące;
 Głód wielki, pochop i ziółka pachnące
 Czuli też, myśle, diabli mnie skusili,
 Że garstkę trawy zerwałem.
 Żłem to uczynił, bo prawa nie miałem.»
 «Lotr i złoczyńca!» – wszyscy krzyknęli.
 Wilk na trzy części kazanie podzieli,
 Że winien osioł pójść na ofiarę.
 Cały go naród lżył i przeklinał,
 Że na nich ściągnął tak srogą karę.
 Jeść cudzą trawę – co za kryminał!
 Zatem na osła padł wyrok śmierci:
 Żywcem roztargać na ćwierci.*

(Przekład: Franciszek Kniaźnin)

Problem „kozła ofiarnego” jest ciągle aktualny, nawet w systemach demokratycznych.

Im większą zbrodnię popełnia się wobec niego, tym większe zbrodnia – dla usprawiedliwienia morderców – „kozłowi ofiarnemu” się przypisuje.

2

LEIBNIZ O NIENAWIŚCI. G. W. Leibniz w *Wyznaniu wiary filozofa* (rozmowa teologa

(T) z filozofem(F)) rozważa problem nienawiści. Obaj rozmówcy zgadzają się, że NIC NIE JEST BEZ RACJI. Teolog zwraca uwagę filozofowi, że w związku z tym „splątany łańcuch trudności tutaj powstaje. Oto przykład: Judasz został potępiony”(Leibniz, s. 8). „Jakaż to więc racja?”(T) Filozof odpowiada: „Myślę, że stan, w jakim umierał, mianowicie nienawiść do Boga, którą gorzał w chwili śmierci, a na której polega natura rozpacz. To zaś wystarcza do potępienia”(Leibniz, s. 8). Każde, jak sądzę, nieposłuszeństwo wobec PANA zasługuje na potępienie; a któż może lubić PANA!? I dalej: „a za nienawiścią do Boga, czyli istoty najszcześniejszej, idzie ból największy, bo nienawiść polega na tym, że boleje z powodu szczęśliwości, podobnie jak miłość polega na radości z powodu szczęśliwości istoty umiłowanej, a zatem najbardziej boleje wtedy, gdy ta szczęśliwość jest największa. Największym bólem jest nieszczęście, czyli potępienie. Toteż kto umierając nienawidzi Boga, potępia samego siebie”(Leibniz, s. 8/9). A skąd ta nienawiść do Boga, czyli chęć szkodenia Bogu?” F: A skąd by, jak nie z przekonania o złej woli, czyli nienawiści Boga do niego? Przedziwna tajemnica Opatrzności sprawiła bowiem, że Bóg szkodzi dopiero tym, dla których jest przedmiotem niewolniczego lęku i którzy bezpodstawnie uważają, że im będzie szkodzić; i przeciwnie: ktokolwiek niezachwianie wierzy, że jest wybrany, czyli miły Bogu, ten (ponieważ niezachwianie kocha Boga) czyni się wybranym”(Leibniz, s. 9).

„T: A dlaczego Judasz uwierzył, że Bóg mu źle życzy?

F: Ponieważ wiedział, że jest buntownikiem, uwierzył, że Bóg jest tyranem; ponieważ wiedział, że upadł, uwierzył, że Bóg mu nie przebaczy; ponieważ wiedział, że jest winien, uwierzył, że Bóg jest okrutny; ponieważ wiedział, że sam jest nieszczęśliwy, uwierzył, że Bóg jest niesprawiedliwy”(Leibniz, s.9). Każdy PAN jest tyran!

Judasz miał w sobie ducha pokuty, bo wiedział, kim jest, że jest grzesznikiem, czyli że zasługuje na karę ze strony Boga. Zgrzeszył, bo mógł zgrzeszyć (o tym zdecydował Bóg), a zdradził Mistrza (zgrzeszył), bo uważał (mnie-mał) to za dobro.

Na s. 38/39 F. jeszcze raz cytuje słowa o nienawiści do Boga w momencie umierania i kończy twierdzeniem, że słowa te uzasadniają

„wielkość nieszczęścia wielkością nienawiści, a wielkość nienawiści wielkością jej przedmiotu” (Leibniz, s. 39). Ta, wielkość nieszczęścia jest zawsze miarą nienawiści! „Jeśli ktoś potępią samego siebie przez nienawiść do Boga, to wskutek trwania, a co więcej, wzrastania nienawiści będzie powodował trwanie i wzrastanie swego potępienia” (Leibniz, s. 39). Potępienia przez PANAA!!!

Dwa rodzaje ludzi (w państwie i w świecie): jedni – zadowoleni ze swojego stanu, inni – niezadowoleni, nieprzyjaźni temu stanowi. Nawet jeśli tym pierwszym się różne rzeczy nie udają, to mimo to (F.) „nie kierują wskutek tego swojej nienawiści przeciwko stojącemu na przeszkodzie ich zamierzeniom ustrojowi państwa i nie zamierzają dokonywać przewrotu, tylko żyją sobie dalej w spokoju ducha, nie więcej przejmując się swoim niepowodzeniem, niż gdyby nie udało im się trafić w locie uciekającej muchy. To nader trafne rozróżnienie «dobrych» i «złych» obywateli należy zastosować w sposób jeszcze bardziej rygorystyczny również do tego powszechnego państwa, którego rządcą jest Bóg” (Leibniz, s. 42), czyli PAN!

„W świecie zatem żadne niezadowolenie nie jest nigdy słuszne, żadne poruszenie duszy wytrącające ją ze stanu spokoju nie jest wolne od winy” (Leibniz, s. 42).

„T.: Jeśli taka jest nasza filozofia, to nie godzi się nam zgoła trudzić nad tym, aby poprawić cokolwiek.

F.: Przeciwnie, nie tylko godzi się i jest słuszne, ale także konieczne; w przeciwnym razie będziemy musieli wrócić do «sofizmatu lenistwa», któryśmy już przedtem odrzucili. [...] A więc miłujący Boga powinien być zadowolony z przeszłości, a przyszłość starać się czynić jak najlepszą. Kto takie ma usposobienie, ten dopiero osiągnął spokój wewnętrzny, tak usilnie zalecany przez poważnych filozofów, oraz zdał się na Boga, co również usilnie zalecają teologowie mistycy. Kto zaś myśli inaczej, ten, cokolwiek by miał na ustach – wiarę, miłość, Boga, bliźniego – ani nie zna Boga, o którym nie wie, że jest najwyższą racją wszystkiego, ani go nie kocha. Nikt, kto nie zna Boga, nie może go należycie miłować, może go jednak nienawidzić. Nienawidzi więc Boga ten, kto chce, aby natura, rzeczy, świat, wszystko to, co obecne, było inne: innego Boga pragnie. Kto umiera niezadowolony, umiera nienawidząc Boga; i jakby staczając się

w dół, idzie już dalej tą drogą, na którą wkroczył...” (Leibniz, s. 44/45).

A do tego, co dotąd powiedziałem, dołączę jeszcze ideę ojczyzny i patriotyzmu, które, na pierwszy rzut oka, tak pozytywnie brzmią. A przecież niechęć do sąsiadów, niekiedy

nawet nienawiść wobec nich (gdym zagrożają ojczyźnie!), jest istotną częścią idei ojczyzny i patriotyzmu. Wszak nie bez racji Ernest Renan napisał o istocie spójności narodowej: „naród to społeczeństwo zjednoczone przez złudzenia o własnych przodkach i wspólną nienawiść do sąsiadów” (podkr. – ZC). Dodam do tego jeszcze, że bardzo doniosłą rolę w kształtowaniu pojęcia narodu (także jego uczuciowej treści) odegrały w wiekach nowożytnej historii wojny narodowe, a wszak wojny, jak wiadomo, to ostre ścieranie się ze sobą postaw wynikających z nienawiści.

Nawet gdy Adam Mickiewicza pisze i woła:

Litwo! Ojczyzno moja! ty jesteś jak zdrowie.

Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,

Kto cię stracił. Dziś piękność twą w całej ozdobie

Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie

to jego (a w każdym razie czytelników) tęsknota nie jest tylko tęsknotą, jest też żalem, pretensją, a nawet nienawiścią do tych, co ojczyzny Polaków (czy kogokolwiek!) pozbawili.

3

Leszek KOŁAKOWSKI O NIENAWIŚCI: Kołakowski traktuje swoje uwagi jako uwagi „abstrakcyjne o zjawisku nienawiści”. Świat bez nienawiści „jest wart pożądania”. Wszyscy się na takie hasło godzą, a to znaczy, że hasło to bez bliższych wyjaśnień „niewielką ma wartość”. Chodzi, wedle Kołakowskiego, o konflikty i o walki bez nienawiści!

Moje w tej sprawie uwagi: Owszem, są/bywają konflikty i walki bez nienawiści, ale nie wszelkie konflikty i nie wszelkie walki. Przecież istotnym motywem zabijania była, jest i będzie nie tylko NIENAWIŚĆ, ale także MIŁOŚĆ. Ileż ludzi zabito w dziejach z miłości, z miłości do ojczyzny, do swojego plemienia, do swojej religii, do swojego Boga, do Chrystusa,.... Istotną rzeczą jest tutaj to, że uczucia ludzkie nie są podobne do przewodów elektrycznych, które są od siebie odizolowane. Ludzkie uczucia nie są od siebie odizolowane, są kłębówiskiem wza-

jennie się przenikających „przewodów”, albo lepiej: są różnobarwnymi cieciami w morzu, które się ciągle ze sobą mieszają!

Spinoza: „nienawiść nigdy nie może być dobra”. Do tego dodałbym: miłość też nie zawsze jest dobra! Ale zarówno nienawiść (agresja: bez agresji nie ma bezpieczeństwa, a więc i życia) jak i miłość bywają dobre, nawet wspaniałe; K. Lorenz: „Tak zwane zło”!

Zasady, które są ekstraktem tego, co najlepsze, co nieodzowne: (1) nie istnieje prawo do nienawiści; (2) nonsensem jest twierdzenie, że ktoś zasługuje na nienawiść; (3) jest w naszej mocy żyć bez nienawiści; (4) można walczyć bez nienawiści; (5) każde uprawnienie przestaje być uprawnieniem, gdy jest spełniane przez nienawiść.

Argumenty przeciwko tym zasadom: (1) nienawiść to zjawisko naturalne, zatem nieuchronne w pewnych warunkach, np. wielkiego zróżnicowania społecznego; (2) nienawiść jest skuteczna w walce, zatem skuteczna także w walce o sprawiedliwość; (3) nienawiść jest moralnie usprawiedliwiona, bo istnieją ludzie i rzeczy godne nienawiści, godne zwalczania.

Odpowiedzi Kołakowskiego na te argumenty:

- Nawet jeśli nienawiść jest naturalna, to nie znaczy to, że nikt nie jest w stanie żyć bez nienawiści (bywali i bywają tacy ludzie); po drugie, nawet jeśli nienawiść jest zjawiskiem naturalnym, to nie ma to znaczenia dla moralnej – negatywnie! – oceny nienawiści; wszystkie nakazy moralne są przeciwne naturze. Nawet jeśli zła się ze świata wykorzenić nie da, to fakt ten NIE USPRAWIEDLIWIA nienawiści w nas, we mnie. „Zło na świecie być musi, ale biada temu, przez którego przychodzi – również to spostrzeżenie należy do najtrwalszych cegieł w budowlu cywilizacji chrześcijańskiej. Bez niego, to znaczy bez przekonania, że żadna statystyka zła nie uniewinnia zła we mnie, pojęcie odpowiedzialności byłoby próżne i zbędne.”

Nie możemy, wedle Kołakowskiego, oczekiwać, że ofiary nie będą nienawidziły swoich katów, „czegoś takiego oczekiwać nie możemy”, ale z tego faktu nie płynie pewność, że mamy moralne prawo do nienawiści. „Otóż wydaje się, że ściśle biorąc, na nienawiść niepodobna zasłużyć tak samo jak na miłość. Ani jedna, ani druga nie dają się wyprowadzić z reguł sprawiedliwości. Zasłużyć na cokolwiek można tylko mocą prawa, ale żadne prawo nie

może żądać, narzucać, albo wymuszać miłości: a więc nienawiści również nie. Jedna i druga dawane są darmo, bez podstaw prawnych.”

Sądzę, że bez podstaw prawnych, może tak, ale to nie znaczy DARMO!

Są, zdaniem Kołakowskiego, „z pewnością ludzkie urzędnia, instytucje, ruchy, systemy polityczne, opinie, może i ludzie zasługujący na zniszczenie. Nienawiść jednak nie jest tożsama z pragnieniem zniszczenia, a tym mniej z przekonaniem, że coś na zniszczenie zasługuje. Nienawiść nasza zwraca się przeciw ludziom i grupom ludzkim, przeciw narodom, rasom, klasom, partiom, przeciw bogatym albo biednym, przeciw czarnym albo białym – nie przeciwko abstraktom, jak systemy polityczne i opinie. Odium peccati, nienawiść do grzechu, to metafora: można nienawidzić tylko grzeszników, w tym, być może, nas samych.

Nienawiść to więcej niż dążenie do zniszczenia. Podobnie jak miłość zawiera ona pewien rodzaj nieskończoności, nienasyceń. Nie dąży po prostu do zniszczenia, ale do nieustającego cierpienia, równa się przeto pragnieniu zostania diabłem, a natura diabła na tym właśnie polega, iż nie może zaznać nasyceń w dziele niszczenia.”

Sądzę, że tak, to natura diabła, albo natura Boga, który według św. Augustyna (*De civitate Dei*) potrzebuje wiecznie dręczyć w piekle grzeszników!

- Czy nienawiść może być skuteczna w służbie dobrej sprawy, czy zatem może być święta? „NIE” Dlaczego totalitaryzmy potrzebują nienawiści?

Nienawiści potrzebowała większość ludzkich dziejów, co się utrzymało w kulturach religijnych. Wszak przez przytłaczającą większość ludzkich dziejów na świecie panowały totalitaryzmy!

Kołakowski: „zapotrzebowanie na nienawiść wyjaśnia się tym, że niszczy ona wewnętrznie tych, co nienawidzą, że czyni ich bezbronnymi wobec państwa, że równa się duchowemu samobójstwu, samozniszczeniu, a przez to wydziera korzenie solidarności również między tymi, co nienawidzą.” Na przykład NIENAWIŚĆ do ludzkiej/naszej GRZESZNOŚCI (Jean Delumeau: „*Grzech i strach*”).

„Wyrażenie „ślepa nienawiść” jest pleonastyczne – nie ma innej.” Pochłania ona całą osobowość człowieka (podobnie jak miłość). Jest pozorem osobowej integracji. Żaden totalita-

ryzm nie obywat się bez nienawiści. „Ponieważ czysta negatywność nienawiści unieruchamia wszelkie porozumienie ludzkie, rozkłada ona wewnętrzną spoiowość osobową i jest dlatego niezastąpiona jako sposób duchowego rozbrajania ludzi. Nasza integracja wewnętrzna dochodzi do skutku w porozumieniu z innymi, w zaufaniu i przyjaźni, nigdy w skierowanej ku sobie, w sobie monadycznie zamkniętej próżni „Ja”. Wszystko przeżerająca energia nienawiści udaremnia wszelkie porozumienie i przez to rozkłada mnie duchowo wcześniej, nim jestem zdolny rozbić „mojego” wroga.”

Uważam, że L. Kołakowski nazbyt współcześnie rzecz traktuje. Przez wiele wiele tysięcy lat istniały we wspólnotach ludzkich tylko i wyłącznie struktury TOTALITARNE, plemienne, oparte na nienawiści/”nienawiści” do plemion innych, a ich przestanką była MIŁOŚĆ („MIŁOŚĆ”?) DO SWOJEJ WSPÓLNOTY, DO SWOJEGO WŁADCY, DO SWOJEGO BOGA CZY SWOICH BOGÓW. Dlaczego „nienawiść”, bowiem w tamtych czasach innoplemieńców zabijano – chyba? – bez nienawiści, bez emocji w ogóle, z radością, z miłości do SWOICH WARTOŚCI! Tak przecież też było w „chrześcijańskim” średniowieczu, zwłaszcza w stosunkach ludzi do osób i wspólnot innych – WROGICH – wyznań, których zabijano z miłości do Chrystusa.

TOTALITARYZM, powiada Kołakowski, potrzebuje nienawiści żeby trzymać w podporządkowaniu „swoich”, by ich duchowo spustoszyć. To prawda, tak było w „chrześcijańskim” średniowieczu, o czym pisze wspomniany Jean Delumeau (*Grzech i strach*); tak też było za stalinizmu i hitlerizmu, tak też było z kolonializmem. Miłość prawdziwa czyni nas bezkrytycznymi wobec niej/jego! „Kiedy nienawidzimy prawdziwie, jesteśmy bezkrytyczni zarówno względem nas samych, jak względem tego, czego nienawidzimy, albowiem być krytycznym to umieć różnicować, a nienawiść odbiera nam wszelką zdolność do różnicowania. Przeciwstawia naszą totalnie bezwarunkową słusność równie totalnej, bezwarunkowej i nieuleczalnej nikczemności innych.” Nie ma solidarności w nienawiści, nie ma przyjaźni ze względu na wspólne wroga.

„Bynajmniej tak być nie musi, że bez nienawiści jesteśmy w walce bezsilni; siła w walce mniej z własnej nienawiści pochodzi, a bardziej z tchórzostwa przeciwnika. Nasze tchórzostwo jest też naszym wrogiem głow-

nym, a wyrzec się nienawiści i fanatyzmu nie znaczy wcale wycofać się z placu boju. Możliwe, że wielu z nas nie potrafi inaczej własnego tchórzostwa pokonać, jak przez fanatyzm i zaślepienie. Jeśli jednak wyciągamy stąd wnioski, że trzeba mobilizować nienawiść do skutecznej walki, natychmiast prawomocność tej walki stawiamy pod znakiem zapytania.”

A ja sądzę inaczej niż L. Kołakowski. WALKA, a zwłaszcza jej radykalne formy (walka przez zabijanie!), jest zawsze związana z nienawiścią! Chyba nie zawsze, bardzo często bywała ona i bywa MIŁOŚCIĄ/RADOŚCIĄ! A najczęściej była motywowana przez IŁORAZ MIŁOŚCI I NIENAWIŚCI, MIŁOŚCI DO SWOICH I NIENAWIŚCI DO WROGÓW.

„Wychowanie do demokracji to wychowanie do godności, to zaś zakłada nieoddzielnie jedno i drugie: gotowość do walki i wolność od nienawiści. Swoboda od nienawiści, osiągnięta przez ucieczkę od konfliktów, to cnota pozorną, niczym czystość kastrata. Wszystkim konfliktom ludzkim właściwy jest wszelako mechanizm samo-napędowy i samo-wzmocniający: nic bardziej zwyczajnego i trywialnego aniżeli nieznaczący w sobie konflikt, który przeradza się we wrogość śmiertelną, ponieważ sposób jego rozwiązywania stwarza nowe i coraz ostrzejsze konflikty. Duch koncyliacyjny i gotowość do kompromisu bez tchórzostwa i bez konformizmu, zdolność do usuwania nadmiaru wrogości bez czynienia ustępstw w tym, co się uważa za jądro sprawy, jest to sztuka, która z pewnością nikomu bez trudu nie przychodzi jako dar naturalny. Od naszej umiejętności przyswajania sobie tej sztuki zależy wszelako los demokratycznego ładu na świecie.”

Ta formuła, moim zdaniem, dotyczy małego fragmentu świata. Dotyczy ona małego czasu (ostatnich 4 wieków w dziejach „Zachodu”). Wszak, powtarzam, przytłaczająca część ludzkich dziejów, to dzieje nie demokracji, a dzieje PANOWANIA, PODDAŃSTWA, POSŁUSZEŃSTWA I ZABIJANIA Z RADOŚCI, Z MIŁOŚCI (NP. Z MIŁOŚCI DO WŁASNEGO PLEMIEŃSTWA, DO PANA BOGA, DO CHRYSYUSA, DO WŁASNEGO NARODU)!

„Doszczętnie zepsucie natury ludzkiej czyni ją diabelską i godną nienawiści, a potrzeba trzymania w ryzach zewnętrznej grzeszności dopuszcza wszystkie środki.”

Nie tyle, jak sądzę, i nie tylko diabelską, ale i BOSKĄ, wszak w imię MIŁOŚCI BO-

ŻEJ zabito chyba więcej ludzi niż z inspiracji diabelskiej.

Najważniejszy według Kołakowskiego nakaz to: „Walka bez nienawiści, duch pojednawczy bez ustępstw co do istoty sprawy”!

Leszek Kołakowski w latach 70. marzył o tym, aby ludzie rozstrzygali swoje konflikty i walki bez nienawiści. Owszem, sądzę, że są/bywają konflikty i walki bez nienawiści (np. walka sportowa), ale nie wszelkie konflikty i nie wszelkie walki mogą przebiegać bez nienawiści. Ale dodajmy ważną rzecz: przeciw istotnym motywem zabijania była, jest i pewnie długo jeszcze będzie nie tylko nienawiść, ale także MIŁOŚĆ. Ileż ludzi zabito w dziejach z miłości, z miłości do ojczyzny, do swojego plemienia, do swojej religii, do swojego Boga, do Chrystusa,... Motywowani taką miłością ludzie zabijali wrogów swojej ojczyzny, swojego plemienia, swojej religii i swojego Boga. Przekonanie Spinozy, że „nienawiść nigdy nie może być dobra” należało by nieco złagodzić, przyjmując, że nienawiść nie zawsze jest dobra. Gdy nienawiść motywuje agresję wobec zagrożenia, to chyba wtedy jest ona pozytywna. Tak mi się wydaje. A co z miłością? Tak samo, miłość nie zawsze ludzi łączy; bardzo często ich dzieli i motywuje ich wzajemne zabijanie się. Ważny dodatek: uczucia ludzkie zawsze mają swoją przedmiotowość, swoje przedmiotowe odniesienie – realne lub zastępcze. Tak też jest z miłością, która rośnie wobec pewnych przedmiotów/wartości (własnego plemienia, ojczyzny, własnego Boga) w miarę, jak wobec innych przedmiotów/wartości rośnie nienawiść (innego (wrogiego) plemienia, kraju agresora, cudzej religii, cudzego Boga/boga,...).

ALE, ja uważam, że nienawiść, zło nie jest „we mnie”, ono jest między mną a innymi ludźmi, w moim zachowaniu się wobec innych oraz w zachowaniu innych wobec mnie i nas.

4

TU MUSZĘ ZACYTOWAĆ niezwykle wrażliwego moralnie pisarza i uczonego z XVII wieku, a mianowicie Błażeja Pascala, który wiąże ze sobą przeciwstawne uczucia, a mianowicie miłość i nienawiść, pisząc: „Iż tak jak prawdy chrześcijańskie godne są miłości i szacunku, tak znowuż przeciwne im błędy godne są wzgardy i nienawiści” (Pascal, s. 130).

Do tego jeszcze coś dodam, a mianowicie opinię księdza Ignacego Choraszewskiego,

którą referuje Mirosław Czech. Otóż Choraszewski w 1934 roku w piśmie „Pro Christo” piętnował Żydów, sądząc (słowa Czecha), że „Żydzi nie zwyciężą, jeśli tylko prawdziwej miłości towarzyszyć będzie prawdziwa nienawiść. Aby naprawdę kochać, trzeba prawdziwie nienawidzić” (Czech, s. 23). I jeszcze analogiczna myśl o miłości jako motywacji zbrodni: „W ciągu wieków w imię miłości popełniono najwięcej okrucieństw, torturowano, mordowano i prześladowano. W imię miłości jedne narody atakowały drugie, rodziny napały na rodziny, pragnąc narzucić innym siłą własną interpretację tego słowa, w przekonaniu, że reakcja jest po ich stronie. Owa „racja” oczywiście oznaczała, że wszyscy inni jej nie mają. Wzmocniona maczugą, toporem, mieczem, strzałą, a w końcu karabinem i bombą, miłość była usprawiedliwieniem każdego działania tych, którzy mają rację, przeciwko tym, którzy jej nie mają” (Silva, Goldman, s. 27).

O złożoności uczucia miłości wspomina także Ernest Renan: „Jak popęd miłosny, który niekiedy najlichszego człowieka dźwiga wysoko nad codzienność, ale też często strąca go w otchłań barbarzyństwa i zbrodni...” (Renan, s. 33). Odwołam się jeszcze do Jeana Delumeau, który zwraca uwagę na trwogę przez Bożym sądem: „Przez nerwicę poczucia winy rozumianej tutaj [jako] religijną i patologiczną dewiację chrystianizmu, która ogniskuje swoje postanie na przypominaniu o grzechu i która zawęza siebie do narzędzia walki z grzechem” (Delumeau, s. 428). Ta obsesja wciągała, wypychała człowieka w walkę z samym sobą jako z grzesznikiem. Człowiek pograża się „w nieustającym rachunku sumienia, posuwa się do eskalacji umartwień, skupia swoje wewnętrzne spojrzenie na myśli o śmierci” (Ibd.). I wreszcie ważna konkluzja Delumeau: „U podłoża tego zaostrzonego poczucia winy psychiatra dopatruje się stłumienia agresji.

Sławne wyjaśnienie podane przez Freuda nie straciło na ważności. Sumienie obciążone poczuciem winy – uważał on – kształtuje się poprzez zwrócenie przeciwko sobie agresywności normalnie skierowanej na zewnątrz i przeżywanej jako niszczenie więzi miłości i przyjaźni (*Kultura jako źródło cierpień*). Otóż w ciągu wieków, ale szczególnie w okresie reformy katolickiej i w najbardziej religijnych środowiskach, zbyt rygorystyczna formacja obciążała nadmierną winą i raniła konieczną

agresywność albo, jeśli kto woli, „popęd do panowania”, który odgrywa zasadniczą rolę, jeśli chodzi o rozkwit całego zakresu ludzkiej działalności. Stłumienie agresywności, wtórując stłumieniu w dziedzinie seksualnej i zaostrzając je, wyniosło ponad rozsądne granice bierne cnoty posłuszeństwa i pokory. Stąd zwrócenie się jednocześnie przeciwko sobie – nieczyste sumienie i choroba skrupułu – i przeciwko grzesznikom” (Delumeau, s. 428/429). Bóg w tej kulturze i w tej wierze jest tak dramatycznie rozdwojony – sprawiedliwy i surowy, nawet okrutny i jednocześnie miłosierny, zatem dwa przeciwstawne uczucia wobec Niego: „stłumiona, ale obecna nienawiść do Prześladowcy, i wzniosłe afirmowana miłość” (Delumeau, s. 429).

Oto ilustracja tej dziwnej dwoistości uczuć wobec Boga, ilustracja wzięta od św. Franciszka Salezego: „(Trzeba) adorować, miłować i chwalić na zawsze mściwą i karzącą sprawiedliwość naszego Boga... i z taką samą rozkoszą jako szacunek całować prawą dłoń Jego miłosierdzia i lewą sprawiedliwości (Delumeau, s. 429).

PAN JEST ZAWSZE OKRUTNY: „KYRIE ELEJSON” (PANIE ZLITUJ SIE)!

Autor jest profesorem filozofii, od wielu lat związany z UMCS w Lublinie, jest członkiem zespołu naszej redakcji.

Literatura

Czech M.: *We krwi mają nienawiść do chrześcijaństwa*, „Gazeta Wyborcza” z 2–3 lutego 2008, ss. 22–24.

Delumeau J.: *Grzech i strach. Poczucie winy w kulturze Zachodu XIII–XVIII w.*, przeł. Adam Szymanowski, Instytut Wyd. PAX, Oficyna Wydawnicza Volumen, Warszawa 1994.

Głowiński M.: *Retoryka NIENAWIŚCI*, Gazeta Wyborcza, 14–15/11/2009. s. 24–25.

Kołakowski L.: *Wychowanie do nienawiści, wychowanie do godności. Przemówienie z okazji przyznania nagrody księgarzy niemieckich, rok 1977*. „Gazeta Wyborcza”, sobota–niedziela, 20–21 października 2007, ss. 32–33.

Leibniz G.W.: *Wyznanie wiary filozofa. Rozprawa metafizyczna. Monadologia. Zasady natury i łaski oraz inne pisma filozoficzne*, przełożyli Stanisław Ciechowicz, Juliusz Domański, Henryk Krzeczkowski, Henryk Moese, PWN, Warszawa 1969.

Pascal Blaise: *Prowincjałki*, przeł. Tadeusz Boy-Żeleński, Wydawnictwo Zielona Sowa, Kraków 2003.

Renan Ernest: *ŻYWOT JEZUSA*, przekład Andrzeja Niemojewskiego, Wydawnictwo Łódzkie 1991.

Silva J., Goldman B.: *Dynamiczna kontrola umysłu metodą Silvy*, przekład Ewa Różalska, Wydawnictwo „Ravi”, Łódź 1998.

Jerzy ŁADYKA

Czemuż tak trudzicie się filozofowie?

Mieliśmy pomyślną okazję cieszyć się kolejnymi publikacjami profesora Leszka Kołakowskiego, podziwiać jego fascynujące analizy wydarzeń i procesów kulturalnych współczesnego świata. Teraz, kiedy nie ma go już między nami nastąpił czas, aby spojrzeć na całość jego dzieła. Podejmuje to zadanie profesor Marcin Król, kompetentnie i atrakcyjnie

w książce *Czego nas uczy Leszek Kołakowski*. Przedstawia życiową drogę ideowej i naukowej myśli filozofa, znaczonej ważnymi fazami ewolucji ideowej i światopoglądowej.

* * *

Leszek Kołakowski zanurzony w burzliwych sporach ideowych czasu powojennego

włączał się do nich głosem zaangażowanego politycznie publicysty. Walczył o niezależność myśli i słowa, o krytyczność zgodną z racjami rozumu i humanizmu, o demokrację, o eliminację wszelkich form autokracji i totalitaryzmu. Jako uczonego, obdarzonego niepospolitą inteligencją i rozległą erudycją w dziedzinie historii filozofii nasycił swe rozważania głęboką argumentacją, odkrywając sens zjawisk i procesów kulturowych, otwierając drogę do zmian i poprawiania jakości ludzkiego świata. Wraz z działalnością publicystyczną zrealizował gigantyczne dzieło *Główne nurty marksizmu*. Przedstawił w nim ewolucję, jaką w procesie historycznym odbyła teoria Karola Marksa – teoria, która wyrastając z wolnościowych i humanistycznych tradycji kultury europejskiej przemieniona została w swe przeciwieństwo, w doktrynę legitymującą kłamstwo, przemoc i zniewolenie.

Wydarzenia społeczno-kulturowe i polityczne w kraju i świecie stanowiły niestające źródło przemyśleń o duchowej aktywności człowieka, o kulturowych i moralnych stronach egzystencji jednostki. Leszek Kołakowski nie stworzył spójnego systemu filozoficznego. Nie miał takiego zamiaru. Cechowało go wszelako trwałe przekonanie o niezbędności istnienia filozofii, jako szczególnej wiedzy – rozumnej refleksji nie uchylającej się od zderzenia z problematyką na równi odległą co i bliską każdemu człowiekowi – z metafizyką. Krytycznie odnosił się do filozofii racjonalizmu scjentystycznego. Jej założeniem fundamentalnym jest teza, że jedynie nauki przyrodnicze mają monopol na to, aby orzekać o tym co jest albo nie jest prawdziwe, a także o tym co jest, a co nie jest sensowne. Kiedy cały obszar naszych czynności duchowych jest ujęty w karby „zauważamy – pisze L. Kołakowski – że samo pojęcie prawdy, w tradycyjnym znaczeniu, to jest prawdy jako zgodności z rzeczywistością jest zbyt wąskie. Co więcej, rozpada się idea sensu, ongi dostarczana nam przez religię i metafizykę: sens istnienia, sens świata, sens cierpienia – wszystko to odesłane jest do śmietnika przesądów ...”(1)

Zepchnięcie tych wartości na margines obszaru kulturowych przeżyć stwarza sytuację podatną dla swoistego „rozkwitnięcia” wzorów konsumpcyjnej żarłoczności i z drugiej strony otwarcia na oścież drzwi dla duchowego nihilizmu. I niefrasobliwością jest mniemanie, że

scjentystyczne doktryny filozoficzne zastrzeżone są jedynie dla uczonych. One przeciekają do szerokich rzesz, ograniczając pole ich potrzeb kulturowych i światopoglądowych. A to nie sprzyja zwalczaniu zła w życiu społecznym wynikającego z deformacji postaw i zachowań ludzkich. Wręcz utrudnia jednostkowe zabiegi podnoszenia swego poziomu intelektualnego i moralnego.

Kołakowski wiedział, że nie jest w swej trosce o jakość duchową człowieka odosobniony. „Wiele dziesiątków lat temu – pisał – te niepokojące mutacje w kulturze naszej głosili różni ludzie myślący. Wśród nich Martin Heidegger i Karl Jaspers, każdy we własnym idiomie” (1). Świadomie włączał się w nurt myśli egzystencjalnej poszukującej antidotum na procesy dezintegracji duchowej człowieka.

* * *

Karl Jaspers uważał dotychczasowe systemy filozoficzne za puste, przynoszące fałszywy spokój umysłu. Proponuje nowy rodzaj filozofowania, który nie jest pouczaniem lecz pobudzaniem umysłu, poruszającym jego siły żywotne, jakie uchronią go przed bezradnością w obliczu zjawisk rozpadu. Rzeczywistość składa się z dwu elementów: egzystencji i transcendencji. Są one sprzężone nierozdzielnie. Transcendencja nie jest bytem przedmiotowym dostępnym w świecie doświadczenia zmysłowego. Intuicja ludzka dociera do niej drogą wiary filozoficznej ale jej obecności za pomocą języka ludzkiego wyrazić nie umie. Transcendencja natomiast mówi do człowieka językiem szyfrów. Niewyraźalna w słowach daje o sobie znać poprzez „sytuacje graniczne” – wydarzenia i doznania bolesne i straszne: klęski życiowe, cierpienie i śmierć, dla której nie daje się znaleźć żadnej racji. Ich negatywność zawiera wszelako pewien walor poznawczy. Ujawnia mianowicie kontrastowy prześwit między życiem powszednim a transcendencją. Przybliża jakąś wiedzę o Transcendencji. Czy to jest wystarczający ekwiwalent dla człowieka, który ugina się pod ciężarem myśli, że życie kończy się porażką? W filozofii Jaspersa nie ma na to wyraźnej odpowiedzi. Wiadomo tylko tyle, że dotkliwość świadomości porażki ułatwia egzystencji zbliżenie z transcendencją. To zaś jest warunkiem jej wolności. Dzięki myśli o porażce życiowej człowiek może „rozjaśnić” swą egzystencję i

określić co jest a czego nie jest w stanie zrobić jako wolny byt. „Właściwy naturze człowieka ruch myśli ku Transcendencji i nieodłączna od tego ruchu porażka myśli doprowadzają nas do uznania, że człowiek jako «pan swoich myśli» jest nie tylko czymś więcej niż to co myśli..., ale jest także czymś więcej niż «sobą» i pragnącym czegoś więcej niż siebie”.(4)

Martin Heidegger. Punktem wyjścia jego dociekań jest pogląd, że historia filozofii europejskiej oddaliła się od intuicji filozofów Grecji pytających co to znaczy być, czym jest Byt. **Heidegger uważał, że odnalazł taki byt, w którym istota i istnienie są tożsame, a bytem tym jest człowiek. Nie możemy badać bytu inaczej jak tylko przez byt ludzki i jego pojmowanie tegoż bytu. Jesteśmy, jako ludzie rzućeni w świat, a świat jest nam dany w koniecznym sprzężeniu z nami samymi. Określił to pojęciem „Dasein”, czyli ludzki sposób bycia. Byt ludzki jest autonomiczny, jest zakorzeniony sam w sobie i „człowiekowi w jego bycie o własne bycie chodzi”. Znaczy to, że człowieka powinna cechować autentyczność, że powinien być samym sobą. Być sobą to znaczy ogarniać w myśli siebie jako istotę, w której życie wpisana jest śmierć. Człowiek jest bytem – ku śmierci. Zwykle jednak nie widać chęci u ludzi, aby stawić czoło wędrowce ku śmierci i przyjmować myśl o niej w pogodnej zgodzie na swój los. Trwałym odcieniem istnienia człowieka jest trwoga.** Ta trwoga, jako złowroga siła nęka każdego człowieka ciężarem niepojmowalności relacji Bytu i Nicości. W trwodze, która jest fundamentalnym lękiem przed śmiercią znajduje odzwierciedlenie to, że człowiek nie ma poczucia, że jest w świecie u siebie. Człowiek chciałby widzieć świat jako miejsce dla siebie właściwe, bezpieczne, to miejsce, gdzie mógłby być samym sobą. Ale tak nie jest. Dlatego chce uwolnić się od trwogi. Angażuje się bez reszty w życie zbiorowe, w tłum, dąży niejako do rozmycia własnej osoby w tym, co jest anonimową zbiorowością. I to jest jego upadkiem. Zanurza się w bezosobową ludzką powszedniość, zachowuje się (SIE) jak się „WSZYSCY” zachowują, jak SIE człowiek „powinien” zachowywać w domu, w pracy, na urlopie i we wszystkich sytuacjach codziennych. Poddanie się naciskowi SIE zagłusza autentyczność człowieka (Dasein). Proces ten zaś przejawia się w notorycznym, mniej lub

bardziej odczuwalnym poczuciu winy. Winy krzyczącej aby się ze stanu upadku wyrwać do innego bycia.

Heidegger pragnął filozofii, która mogłaby poruszyć zapomniane czy nieczynne struny umysłu o niezbywalnej ważności w życiu takich pojęć jak prawda, miejsce człowieka w świecie, umieranie, byt i nicość... Pisał: „Jeśli tylko egzystuje człowiek, w pewien sposób dokonuje się filozofowanie. Zaś filozofię uruchamia się przez szczególne włączenie własnej egzystencji w fundamentalne możliwości bytu przytomnego w jego całości, następnie rzucanie siebie samego w nicość, tzn. wyzwolenie się od idoli, które każdy posiada i do których zazwyczaj usiłuje umknąć; wreszcie wprawianie w drgania tego stanu zawieszenia tak, aby kazał nam on nieprzerwanie powracać do podstawowego pytania metafizyki, tego które sama nicość wymusza: Dlaczego w ogóle byt jest raczej niżeli NIC?”.(2)

* * *

Leszek Kołakowski swe stanowisko filozoficzne sformułował w nurcie myślenia kulturowego myśl sokratejską i przedsokratejską, która pytała o sens bytu, rzeczywistości, prawdy, dobra, pierwszej przyczyny. Problematyka ta jest obecna w kulturze europejskiej od czasu, kiedy refleksja metafizyczna i mit religijny oddzieliły się od mitologii.

Filozofia w sensie dociekań myślowych jest w samej rzeczy uniłowaniem mądrości, chociaż efekty jej uprawiania są złudne, osłabione rozlicznością osiągniętych wyników przez poszczególnych myślicieli. Jeśli zważyć przy tym, że filozofia jako metafizyka podejmująca problemy wykraczające poza granice świata wyznaczonego przez doświadczenie empiryczne-rozumowe to po co trudzić się nad tym niepożytecznym dociekaniami. Karl Jaspers odpowiada, że w istocie chodzi o samo dociekanie. Bo choć nie przynosi ono pożytku porównywalnego do efektów nauki i filozofii analitycznej, to ma ogromny wpływ na życie ludzi, na charakter kultury w której żyją i którą tworzą: „Nie możemy zgłębić tajemnicy i obrócić jej w wiedzę, lecz ważne wiedzieć, że mamy z nią do czynienia; choć nie sposób zedrzyć zasłonę, za którą ukrywa się rzeczywistość ostateczna, winniśmy wiedzieć, że jest taka zasłona”.(3)

Leszek Kołakowski podziela w części pogląd Jaspersa o czym świadczy jego żarliwy

związek z filozofią. Kiedy ma się do czynienia z tajemnicą to trudno uchronić się od niepewności. **W myśli Kołakowskiego rysuje się nic trwałego drżenia sceptycznego.** Mówi o tym w sposób literacki i głęboki. „Sam akt poznania, sam fakt, że umysł nasz obcuje ze światem, którym nie jest, i że potrafi ten świat sobie przyswoić lub uczynić z niego zdarzenie uświadomione, ów fakt najzwyczajniejszy, gdy spojrzeć nań bez uprzedzeń, jest najdziwniejszą rzeczą, jaką można sobie wyobrazić. Jeśli Bóg, jako się powiada, jest niepojęty, fakt postrzegania i poznawania jest taki w nie mniejszym stopniu. (...)«Mojość» jest być może cudem, lecz to, że czynię moim obce ciało, uprzednio we mnie nieobecne a mimo to przekształcone w akt świadomości jest cudem nad cudami”.(1)

Sceptycyzm Kołakowskiego jest wtórnym pogłosem prawdy, wątpi się bowiem w coś, co już przedtem zaistniało. „Cokolwiek wiedzieć” to oczywiście nie znaczy wszystko wiedzieć. Trzeba wszelako dążyć aby uchronić się przed pustką bezsensownego życia. W tej fazie rozwoju swej myśli Kołakowski koncentruje się na fundamentalnym znaczeniu prawdy w umysłowym i moralnym współistnieniu ludzi. Widzi ją w dwojakiej formie. Jako wartość technologiczną i jako wartość mityczną, kulturową, nie gnoseologiczną.

Profesor Marcin Król podkreśla w swej książce, że „Kołakowski jest już nie tylko historykiem filozofii czy historykiem idei, jak sam o sobie pisał, lecz filozofem i to jednym z najpoważniejszych w naszej dobie”. Chętnie się z tą opinią zgadzam.

L. Kołakowski koncentrował się na egzystencji człowieka uwikłanego w różne relacje ze światem zewnętrznym. Nie starał się tworzyć swoistej ontologii egzystencji jak M. Heidegger i K. Jaspers. Założeniem pojmowania rzeczywistości w filozofii Kołakowskiego - jako bytu pierwotnego jest teza: **człowiek jest w świecie.** Przedmiot zaś jego filozofii przejawia się w poszukiwaniu odpowiedzi na podstawowe pytania dotyczące prawdy i sensu. Kołakowski nie podnosi problematyki prawdy technologicznej jako wartości społecznie użytkowej. Koncentruje się na pojęciu prawdy jako mitu. Określa ją następująco: „Mit jest odkryciem sytuacji (absolutnie początkowej), która jest ważna dla życia aktualnego (...) dlatego, że zabiega życia codziennego relatywizuje

do rzeczywistości nierelatywnej i przez to nadaje im sens (podkr. J.Ł.). Filozofia – rozgałęzienie tego samego pnia, który żyje w kulturze jako świadomość mityczna – podejmuje ową «potrzebę prawdy», to jest potrzebę rozumiejącego odnoszenia świata empirycznego do bytu bezwarunkowego”.(1)

Mity jako elementy kultury ludzkiej wywodzą się i dotyczą sytuacji bezwzględnie początkowej świata ludzkiego doświadczenia. Dotyczą pojęcia i istoty bytu jako całości, wskazują na konieczność zdarzeń składających się na rzeczywistość ludzkiego świata. „Mity byłyby zbytyczne, gdyby istniały ich metafizyczne odpowiedniki. Jeśli zarówno wyrażają jak i skrywają rzeczywistość ostateczną, to dzieje się tak dlatego, że jest ona (rzeczywistość) niewyraźna in abstracto, nieredukowalna do jakiegokolwiek teoretycznej mowy”.(1) Prawdy szczegółowe, używane do przewidywania skutków naszego działania w praktyce, jako wiedza i nauka o świecie dostępnym w doświadczeniu empirycznym nie mają waloru bezwzględności i bezsporności.

Ale jest również inne pojmowanie prawdy odnoszącej się do spraw ludzkich ale nie podlegającej weryfikacji empirycznej. Tęsknota o takiej prawdzie i pragnienie dążenia w jej stronę nie są wyłącznie cechą umysłów uczonych ale mają charakter powszechny. Świadczy o tym fakt notoryczny w dziejach, że ludzi cechuje „prosta i pierwotna tęsknota, aby wiedzieć, co jest naprawdę prawdziwe, prawdziwe bez zastrzeżeń, prawdziwe zupełnie niezależnie od naszego myślenia i postrzegania, od naszych praktycznych zainteresowań i użyteczności”.(1)

Filozofia Kołakowskiego wsparta jest na rozumności. Z intencji ma docierać do innych. Ma być zrozumiała dla każdej istoty myślącej bez odwoływania się do niepojętych doświadczeń mistycznych. Filozof nie ukrywa, że w obszarze poznania pozostają sprawy ciemne i tajemnicze. I należy zdawać sobie sprawę, że określenie zasad i norm zachowań uznanych za główne czy najważniejsze w życiu, nie jest sprawą prostą i łatwą. Warto się jednakże z tym trudem zmierzyć. Uzyskują one poniekąd wymiar konieczności. Stają się drogowskazem w życiu ze względu na wagę treści intelektualnych, moralnych i pragmatycznych. Określają kim człowiek jest naprawdę, jakie treści może wnieść do wspólnoty

ludzkiej, do kultury duchowej i materialnej życia społecznego. Profesor Kołakowski mocno akcentuje potrzebę aktywności jednostki, której rozumność i intuicja moralna znajdują się skutecznego przeciwstawienia się dogmatowi i doktrynerstwu. Czerpiąc z bogactwa myśli buddyzmu, stoicyzmu i sceptycyzmu, a także innych nurtów filozoficznych, wskazuje na korzyści poznawania dorobku ludzi przeszłości, którzy od tysięcy lat zastanawiali się, tak jak my, nad tym jak żyć, aby życie miało sens, aby było dobre. Pokazuje też, że w dążeniu do prawdy o sobie samym i o swoich relacjach z innymi, niezbędna jest otwarta wymiana myśli. Ludzie przekazują sobie dzięki temu

Autor jest profesorem filozofii, członkiem zespołu naszej redakcji.

informacje oraz wiedzę nabytą w doświadczeniu. Obdarzają się nawzajem swą mądrością, kształtowaną w twórczej, niepowtarzalnej aktywności ducha. Dociekanie sensu i prawdy przynosi bowiem owoce, gdy wysiłek indywidualny zbieżny jest z autentycznym, a nie tylko pozorowanym pragnieniem rozumienia innych i gotowością akceptacji ich słusznych racji.

Literatura

1. Leszek Kołakowski, *Obecność mitu, Horror metafizyczny, Czy Pan Bóg jest szczęśliwy.*
2. Martin Heidegger, *Budować, mieszkać, myśleć.*
3. Karl Jaspers, *Filozofia egzystencji.*
4. Hannah Arendt, *Salon berliński.*

Radosław S. CZARNECKI

Demencja elit

Nie ma niczego koniecznie wzniosłego w pracy rąk, a większa jej część jest całkowicie poniżająca.

Oskar WILDE

Czytając dwie niedawno wydane w naszym kraju książki – obie napisane w Ameryce – T. Franka „CO Z TYM KANSAS?” i D. Osta „KLĘSKA SOLIDARNOŚCI”, opisujące dwie różne społecznie sytuacje, analizujące diametralnie odmienne procesy i zjawiska, które przebiegają w różnych środowiskach cywilizacyjno-kulturowych, w dodatku na dwóch kontynentach (Europa i Ameryka), dojść można jednak w miarę do spójnych, uniwersalnych i jednoznacznych wniosków. Wnioseków, których zręby już Ch. Lasch nakreślił w swym powszechnie znanym bestsellerze, a zawierających się w tezie, że „...ci którzy się cieszą przynależnością do nowej arystokracji umysłu” porzucili ludzi gminu, wszelkich (ich zdaniem) „upadłych” oraz przeszkadzających w modernizacji świata i postępie ludzkości, pracowników najemnych, robotników etc.¹.

Jak daleko, a zarazem jak blisko, są w tej kwestii Polska i Stany Zjednoczone Ameryki Północnej. Mimo różnic kulturowych, cywilizacyjnych, technologicznych i społeczno-historycznych te opisywane sytuacje w obu krajach są zbliżone, często – analogiczne. A to pozwala już wyciągnąć uogólnione wnioski i przymierzyć je do globalnego wymiaru. Zwłaszcza w kontekście roli jaką pełnią w dzisiejszym świecie Stany Zjednoczone AP.

Elita to zespół ludzi odgradzający się od ogółu w poczuciu swej rzeczywistej lub domniemanej wyższości². W pierwszym to zbiór osób zajmujących kluczowe pozycje w strukturach władzy, a których decyzje mają wpływ na całokształt życia społecznego. Po drugie – elita może być grupą o określonym autorytecie albo prestiżu, która na podstawie społecznej akceptacji dla ich rzeczywistych

lub uzurpowanych kwalifikacji bądź przymiotów zajmuje najwyższe pozycje w hierarchii różnych struktur społecznych. I wreszcie po trzecie – elitę można postrzegać jako zespół ludzi zajmujących pozycje w społeczeństwie w zależności od tradycji, pielęgnowanych wartości, historii etc. Są to więc elity lokalne, środowiskowe, korporacyjne, etniczne, religijne itp.³ Do tej definicji dodać można jeszcze tylko sąd światowej sławy politologa prof. R. Dahrendorfa mówiący, iż elity są to grupy osób zajmujących czołowe pozycje w instytucjonalizowanych strukturach politycznych, gospodarczych, kształcenia, prawa, wojska, religii, mediów etc.⁴

Ponieważ „*równość społeczna i obywatelska zakłada co najmniej grube przybliżenie równości ekonomicznej*”⁵ taka postawa elit (jak prezentuje to cytowany Ch. Lasch) podkopywać zaczęła dotychczas uważane za paradygmaty podstawowe pryncypia demokratycznego porządku cywilizacji Zachodu. Jak twierdzą klasycy współczesnej politologii amerykańskiej – M. Walzer, M. Kaus czy Ch. Lasch, luksus i zbytek uchodził do ostatnich dwóch dekad XX wieku za rzecz moralnie naganną albo przynajmniej dwuznaczną. Należy tu wspomnieć, iż model państw burżuazyjnych Zachodu ukształtowany po II wojnie światowej to zdaniem wielu np. brytyjskiego historyka i politologa E. Hobsbawma, „złoty wiek” demokratycznego kapitalizmu, gdyż realnie istniejący obóz komunistyczny wymusił poprzez konkurencję i zagrożenie militarne upowszechnienie dobrobytu, praw człowieka, zasad równości, solidarności i braterstwa⁶.

Czynniki kształtujące kulturę polityczną Zachodu (weberowski związek kapitalizmu z „duchem protestantyzmu”, zwłaszcza w kalwińskiej obediencji) opisywały zbyt koźny luksus jako rzecz nie do pogodzenia z ideałami demokracji. Ponadto doświadczenia wyniesione z lat Wielkiego Kryzysu lat 30-tych XX wieku, walk o wyzwolenie społeczne, rasowe, religijne itd. XIX-wiecznej Europy i Ameryki (pokłosie Wielkiej Rewolucji Francuskiej) wymagały od warstw „oświeconych” spolegliwości, braterstwa i solidarności z „ludem”.

Wielu autorów – np. G. Soros, L.C. Thurow, A. Sen, B. Ehrenreich, J. Stiglitz, N. Klein czy H.P. Martin/H. Schumann itp. – zwraca uwagę w kontekście tych rozważań (alternatywa dla powszechnie panującej do tej pory „mono-

kultury myśli ekonomicznej” oraz rozwiązań systemowych i swoistego *political correctness*) na powrót zapotrzebowania w najwyższej rozwiniętych krajach na takie profesje jak lokaj, *baby-sitter*, służąca/y, pokojówka, posługacz itd. (analogia z czasami wiktoriańskimi jest sama przez się widoczna). I to zarówno z tytułu wzrostu bogactwa elity jak i zawężenia się możliwości pracy dla „ludu”, mimo podnoszenia się poziomu edukacji a wraz z nim intelektu i świadomości szerokich warstw ponowoczesnych społeczeństw Zachodu. **Korelacja pomiędzy promowanymi nachalnie i jednostronnie rozwiązaniami ekonomiczno-społecznymi, a statusem materialnym elit (przy równoczesnych trudnościach życia codziennego dotyczących coraz szerszych grup i warstw społecznych) jest widoczna gołym okiem.**

Trzeba tylko dodać, że w latach „złotego wieku” demokratycznego kapitalizmu wspomniane wcześniej profesje przeznaczone były jedynie dla przybyszów z byłych kolonii bądź imigrantów ekonomicznych, o niskich kwalifikacjach, a ponadto społeczna ranga tych profesji była przemilczana, jakby wystydliwa, nie afiszowano się z tym publicznie.

Gdy kurczy się przestrzeń publiczna, a rośnie sfera prywatna, demokracja, wolność jednostki, swoboda *psyche* pojedynczej osoby – przy równocześnie powiększającej się stratyfikacji ekonomicznej, kulturowej czy w późniejszym wymiarze: cywilizacyjnej – więdną. Jest to właśnie odwrotnie niż uważają owe elity, iż wraz z powszechną prywatyzacją wszelkich dziedzin życia poszerza się przestrzeń dla samorealizacji, wolności, swobody myśli i odczuć. **Demokracja bowiem kurczy się, szarżeje, rozpada gdy zmniejsza się przestrzeń publiczna, wspólna, społeczna: obywatelskość kruszeje, zwija się, popieleje.** Demokracja i tak zbudowane społeczeństwo pozostają „*stabilne wtedy kiedy wyborcy wiedzą i czują, że liczą się prawa i interesy każdego*”, nie tylko finansowych, medialnych, gospodarczych, religijnych i politycznych potentatów, *play-makerów* czy lobbystów⁷.

Tak naprawdę „oświeceni” z Zachodu, a za nimi znaczna część elit z krajów b. Bloku Wschodniego (najczęściej jako „nawiedzeni” i „odzyskani” neofici) w swych działaniach sprzeniewierzyła się pierwotnym ideałom oświeceniowym, stając się (jak to określa prof.

B. Łagowski) „*manipulatorami świadomości ludu*”.

T. Frank ukazuje w swych tekstach jak elity demokratyczne USA porzucając lud, tzw. „niebieskie kołnierzyki” (czyli praktycznie swoje zaplecze społeczne i wyborcze) – poprzez przeniesienie dyskursu publicznego z problematyki społeczno-ekonomicznej na sferę religijną, kulturową, narodową czy estetyczną – przyjęła warunki konfrontacji politycznej według zasad określanych od dekad przez prawicę. **To właśnie prawicy, z pobudek ideowo-programowych, zależy zawsze na kanalizowaniu konfliktów klasowych, problemów o dystrybucją bogactwa, dysput na temat różnic ekonomicznych czy charakteru gospodarki itp. w tych właśnie płaszczyznach. Wtedy zawsze można pokazać, że należy „bić” Żyda, Murzyna, komunistę, agenta, ateusza, geja czy masona.**

„*Jeśli ktoś przekona mnie, że mój gniew zrodzony na podłożu ekonomicznym jest naprawdę wywołany przez moralne zepsucie szerzące się w społeczeństwie, w moim interesie będzie ustanowienie państwa religijnego*” – tak konkluduje powyższą sytuację D. Ost⁸.

„Zprawicowienie” lewicy, przesunięcie się jej w swym programie ku centrum było brzemniennym w skutkach posunięciem. Widać to zarówno u Franka jak i Osta.

Kansas T. Franka (stan ze środkowego zachodu USA) to taka Polska „B”: Podkarpackie, Lubelszczyzna, Podlasie, Mazowsze czy Warmia, małe miasteczka i wioski, posocjalistyczne suburbia nieistniejących już zakładów pracy i popegeerowskie osiedla. I tu widzimy największe analogie w opisywanej sytuacji.

Przełom AD'89 (któremu dały początek wybory 4.06.1989 r.) otwierał nowy rozdział w historii Europy i świata. Masowy, zrodzony z protestu „ludu”, ruch „Solidarności” był klasycznym ruchem populistyczno-socjalistycznego chowu. Rewolucyjnym, kontestatorskim, klasowym. W używanej powszechnie nomenklaturze rządzącej dziś Polską elity – ruchem postkomunistycznym. Świadczy o tym chociażby 21 postulatów robotników ze stoczni gdańskiej wywieszonych na słynnej desce na bramie tego zakładu pracy. Przynajmniej 60% z nich miało charakter socjalny, ekonomiczny, klasowy⁹.

Jak stwierdził W. Kuczyński (prominentny doradca „Solidarności” i jeden z czoło-

wych animatorów rządu T.Mazowieckiego) w rozmowie ze S.Cioskiem w TV SIEDEM (w dn. 4.06.2008 czyli w rocznicę wyborów czerwcowych) po utworzeniu tego ruchu elity „Solidarności” zupełnie świadomie ustalenia Okrągłego Stołu i postulaty sierpniowe „*schowały do szuflady*”. Kłóci się to z jedną z tez D.Osta mówiącą o „*uwielbieniu, admiracji czy nawet egzaltacji intelektualistów polskich etosem robotniczym*”. Przytacza na przykład wypowiedzi czy refleksje m.in. A. Wajdy, J. Kijowskiego, A. Michnika czy R. Kapuścińskiego z okresu 1980–81¹⁰. Ten czysty zachwyty, ta bezkrytyczność i bezrefleksyjność wraz z argumentacją przepojoną moralistyką, odwołaniami do etyki, godności i prawdy mocno kontrastują z późniejszym potraktowaniem „ludu”.

Potwierdza to, iż polscy intelektualiści zachwycili się „klasa robotniczą”, „ludem”, „gminem” w Polsce z przesłanek o tyle ideologicznych co irracjonalnych. To już było niegdyś w historii Polski – takie „pańskie”, uduchowione zainteresowanie ludem wiejskim, jego kulturą, codziennością. Bez głębszej refleksji krytycznej, racjonalnej analizy i pragmatycznych wniosków. Świetnie pokazuje to m.in. S. Wyspiański w „WESELU”.

Elita w swym patriarchalizmie i immanentnej jej mentalności „pogardzie dla Innego” – co świetnie egzemplifikuje przytoczony jako motto schlagwort O.Wilde’a – powróciła szybko do tych niechlubnych korzeni. Choć wiele mówi jednocześnie o wolnościach osobistych, demokracji, godności osoby ludzkiej, etosie, prawach człowieka. Tym patriarchalizmem (a czy on nie jest formą „pogardy dla Innego”?) zaraziła szybko czołówkę robotniczych działaczy „Solidarności” szczebla regionalnego, lokalnego i zakładowego. D. Ost przytacza jako ilustrację do tego przykładu wypowiedzi: działaczy „S” z WSK Mielec¹¹ czy czołowego, w wydaniu krajowym *play makera* Związku – W. Arkuszewskiego¹².

Stosunek elit do gminu, do ludu, do pracowników najemnych wepchnęły dużą część potencjalnego elektoratu liberalno-lewicowych partii politycznych (i elit z nimi związanych) w objęcia prawicy. Zarówno w USA jak i w Polsce. „*Sam tego chciałeś Grzegorz Dyndato*” – można napisać parafrazując tytuł felietonu prof. B. Łagowskiego w jednym z numerów tygodnika PRZEGLĄD¹³. Narzekania

nad „ciemnogrodem”, ubóstwem „umysłowym ludu”, brakiem oświecenia gminu elity post-solidarnościowe winne skierować do siebie. Ich to działania otwały przecież wrota partii braci Kaczyńskich na salony, obskurantyzacji życia publicznego w Polsce; to także głoszenie zgubnych teorii i argumentacji, przyklaskiwanie najbardziej czarnosecinnym projektom społeczno-cywilizacyjnym (byleby nie kojarzono ich z PRL-em i komunizmem) pośrednio rehabilitowały Macierewiczów, Jurków czy Giertychów.

Najsmutniejszym jest także w tym kontekście fakt, iż prominentna część elit liberalno-lewicowych, przyjmując „chomąto” *schlagwortu* E. Milewicz (znaczącej reprezentantki obozu post-solidarnościowego), iż „*lewicy mniej wolno*” w Polsce, same siebie postawiły się „do kąta”. Przepraszały, że żyją...

Przyjmując *a priori* wszelkie idee czy myśli idące z „tego kierunku” ubezwłasnowolniły się zarówno politycznie, socjologicznie jak i ideowo. **Odzyskanie zaufania społecznego i przywrócenie równowagi polskiej scenie politycznej musi zacząć się „od wstania z kolan” – zarówno światopoglądowego, politycznego, społecznego, ekonomicznego (w sensie idei i doświadczeń) jak i historycznego.**

J. Żakowski we wstępie do książki T. Franka zauważa celnie, że „*przynajmniej od D. Bella, U. Becka czy Ch. Mouffe można by poprowadzić łańcuch silnych tez krytyki społecznej pokazujących, jak moce tworzone przez immanentne mechanizmy systemu kapitalistycznego wyzerają jego racjonalne korzenie i coraz bardziej zmieniają demokrację*”¹⁴.

W cieniu moralnej krucjaty, G. Bush jr załatwił bogatym Amerykanom obniżkę podatków personalnych; J. Kaczyński będąc premierem rządu RP całkowicie zlikwidował w Polsce podatek od darowizn i spadków, czego nie było nawet w thacherowskiej, ultraliberalnej (w przestrzeni gospodarki) Anglii.

Jak widać owa demencja dotycząca zarówno Stanów Zjednoczonych (dwie kadencje G.Busha jr.) jak i Polski (prezydentura L. Kaczyńskiego, rządy PiS-u a teraz rządy – PO). I to dotyczy prawicy jak i lewicy (tu widać

wyraźny brak skutecznej analizy i popadanie w ciągłą depresję intelektualno-praktyczną). B.Obama (i jego fenomen) oraz światowy kryzys korporacyjnego kapitalizmu o neo-konserwatywnym stylu udowadniają, że czas jednostronnego „ruchu ulicznego” mija bezpowrotnie. Polska lewica winna z tego faktu wyciągnąć stosowne wnioski.

Przypisy

¹ Ch. Lasch, *Bunt elit*, Kraków 1997, s. 15.

² *Elite* (z francuskiego) – wybór, wybrańcy; z łaciny: *eligere* – wybierać.

³ Rozmowa red. Z. Słowika z J. Sztumskim pt. „*O współczesnych elitach i konfliktach społecznych*”; [w]: RES HUMANA, nr 5/2001, ss. 26–30.

⁴ CZŁOWIEK I ŚWIAT, Warszawa 2007, s. 144.

⁵ Ch. Lasch, BUNT ELIT, dz. cyt., s. 29.

⁶ E. Hobsbawm, WIEK SKRAJNOŚCI, Warszawa 1999, część II pt. „*Złoty wiek*”, ss. 211–365.

⁷ H.P. Martin/H.Schumann, PUŁAPKA GLOBALIZACJI. ATAK NA DEMOKRACJĘ I DOBROBYT, Wrocław 1999, s. 271; wywiad J. Żakowskiego z L.C. Thurowem, pt. „*Nowa rewolucja, nowe średniowiecze*” [w]: GAZETA WYBORCZA z dn. 27–28.09.1997, ss. 12–13.

⁸ D. Ost, KLĘSKA SOLIDARNOŚCI, Warszawa 2007, s. 65.

⁹ Chodzi przede wszystkim o następujące punkty (dziś wiele z nich jest tak ostro krytykowane przez różne gremia, jako niezastuzone zdobycze „ludzi pracy” – jak Centrum A. Smitha, Konfederacja Pracodawców „Lewiatan” czy BCC):

XIII – wprowadzić na mięso i jego przetwory kartki żywnościowe

XIV – Obniżyć wiek emerytalny dla kobiet do 55 lat, a dla mężczyzn do lat 60

XV – Zrównać renty i emerytury starego portfela do poziomu aktualnie wypłacanych

XVI – Poprawić warunki pracy służby zdrowia

XVIII – Wprowadzić urlop macierzyński płatny przez okres 3 lat na wychowanie dziecka

¹⁰ D. Ost, KLĘSKA SOLIDARNOŚCI, dz.cyt. ss. 97, 98, 100, 132.

¹¹ Tamże, ss. 300–301.

¹² Tamże, ss. 119–120.

¹³ PRZEGLĄD nr 27/445/2008 z dnia 6.07.2008, s. 11.

¹⁴ J. Żakowski „*Wstęp*”, [w]: T. Frank, CO Z TYM KANSAS ?, Warszawa 2008, s. 8.

¹⁵ T. Frank, CO Z TYM KANSAS ?, Warszawa 2008.



SCENA POLSKA

Życie zbiorowe, także w rozwiniętych lub rozwijających się społeczeństwach demokratycznych, nie jest wolne od wielu, często dramatycznych, problemów społecznych, spośród których bezdomność wydaje się być jakimś problemem szczególnie bolesnym: oto człowiek pozostaje bez dachu nad głową, bez tej przystani, w której się może schronić przed najgorszym, ocalić swoje człowieczeństwo.

Toteż bezdomność spędza sen z oczu nie tylko organizatorom życia zbiorowego, państwom czy samorządom, ale też skupia uwagę wielu badaczy tej złożonej kwestii społecznej. Autor poniższego tekstu jest jednym z uważnych badaczy problematyki bezdomności, a jego tekst, udostępniony naszej redakcji, czynimy pierwszym z cyklu kilku tekstów poświęconych bolesnym problemom społecznym Polski współczesnej: bezrobociu, alkoholizmu, przemocy w rodzinie oraz prostytucji.

Zapraszamy Czytelników do nadsyłania swych uwag, spostrzeżeń czy refleksji na te właśnie tematy, dla których łamy czasopisma czynimy otwarte.

Redakcja

Romuald DOBRZENIECKI

Bezdomność jako problem społeczny

Pojęcie bezdomności

Termin „bezdomność” – wbrew swej pozornej oczywistości znaczeniowej, nastrocza wiele problemów definicyjnych. Badacze zjawiska bezdomności, a także praktycy rozwiązujący problemy osób bezdomnych, przyjmowali definicję tego pojęcia w zależności od własnych doświadczeń i potrzeb związanych z realizacją konkretnych badań czy projektów.

Krystyna Wierzbicka w jednej z pierwszych prac poświęconych badaniu sytuacji ludzi bezdomnych, stwierdza: „Pojęcia tego nie sposób zdefiniować w oderwaniu od kulturowego i społecznego kontekstu: czynników określających kulturę mieszkaniową, system norm i wartości wyznaczających sposoby zamieszkiwania, środowiskowych wzorów wejścia w posiadanie własnego domu.”

Odpowiedź na to pytanie, kto jest bezdomnym, wymaga choćby intuicyjnego określenia

społecznie akceptowanego standardu mieszkaniowego.

Bezdomność można definiować również w ujęciu socjologicznym, to problem społeczny charakteryzujący się brakiem miejsca stałego pobytu – brak domu, mieszkania.

Bezdomność w ujęciu psychologicznym (A. Kowalczyk) to kryzysowy stan egzystencji osoby nie posiadającej faktycznego miejsca zamieszkania, pozbawionej środków niezbędnych by zaspokoić elementarne potrzeby, trwale wykorzenionej ze środowiska i akceptującej swoją rolę społeczną.

Istnieje również definicja prawna zawarta w *Ustawie o pomocy społecznej*. Zgodnie z nią za osobę bezdomną uważa się „osobę niezamieszkujejącą w lokalu mieszkalnym w rozumieniu przepisów o ochronie praw lokatorów i mieszkaniowym zasobie gminy i nie zameldowaną na pobyt stały, w rozumieniu przepisów o ewi-

dencji ludności i dowodach osobistych, a także osobą nie zamieszkującą w lokalu mieszkalnym i zameldowaną na pobyt stały w lokalu, w którym nie ma możliwości zamieszkania.”

Jednak jak podkreśla wielu badaczy, bezdomność jest przede wszystkim zjawiskiem społecznym, nie poddającym się opisowi w kategoriach czysto prawnych. Ani formalne prawo do zamieszkania w danym lokalu ani brak tego prawa nie przesądzają bowiem niczego w kwestii bezdomności.

Interesujące rozważania definicyjne dotyczące bezdomnych zawarł Michał Porowski w swojej pracy pt. *Bezdomność - obraz zjawiska i populacji ludzi bezdomnych*. Biorąc pod uwagę szeroki kontekst społeczny autor opracowania uważa, że „pojęcie bezdomności powinno być odnoszone do wzorów obyczajowych określających sposoby zaspokojenia potrzeb mieszkaniowych, cech jakościowych, które decydują o uznaniu za mieszkanie miejsca w tym celu użytkowanego, a także przyjętych standardów, ocen i przeżyć indywidualnych, które dają poczucie posiadania mieszkania - domu. Domu to znaczy odpowiednio urządzonej przestrzeni, która zapewnia człowiekowi godną z punktu widzenia danej kultury egzystencję, poczucie stabilizacji oraz warunki wystarczające do spełnienia przezeń funkcji życiowych i urzeczywistnienia odczuwalnych potrzeb.”

Obecnie w polskiej literaturze naukowej, jak i poza naukową możemy znaleźć również definicje bezdomności, które wiążą się z główną przyczyną lub kumulacją przyczyn, a także wiele innych.

Ta wielość definicji świadczy o tym, że jest to złożony, wieloaspektowy problem społeczny, ale również polityczny, gospodarczy, psychologiczny i kulturowy.

Andrzej Przymeński w artykule „Bezdomność w Polsce - definicja zjawiska” stwierdza: „Definiując zjawisko bezdomności, lub raczej ogólnie je oceniając, pamiętać trzeba, że są różni bezdomni i różne drogi do znalezienia się w tym stanie. Nawet jeśli wiadomo, że w wielu przypadkach bezdomność jest rezultatem wcześniej dokonanych przestępstw, alkoholizmu, unikania zobowiązań itp., nie można jej traktować jako dewiacji indywidualnej, a zatem samych bezdomnych jako dewiantów. Stanowisko takie, często u nas występujące, jest

nieuzasadnione, choć do pewnego stopnia zrozumiałe, bo ukształtowane poprzez obserwację najbardziej spektakularnych form bezdomności (ulicznej)”.

Zjawisko bezdomności, samo jego definiowanie, określenie jego zakresu nie należy taktować jako formuły zamkniętej. Niech pozostanie ona, jak twierdzi A. Przymeński „otwarta nie tylko na zmiany, jakie niesie ze sobą teraźniejszość, ale także na uwagi krytyczne osób zainteresowanych podjętą tu problematyką.”

Definicje spotykane w literaturze to definicje raczej ogólnikowe, nie wyczerpujące złożoności zjawiska, różniące się nieznacznie między sobą. Tylko niewielu autorów podejmuje próbę by możliwie wyczerpująco określić to zjawisko, tak aby proponowana definicja była użyteczna w praktyce. Jednak mimo tych prób badacze nie wypracowali dotąd jednej, powszechnie obowiązującej definicji bezdomności i osoby bezdomnej. W literaturze zdaje się panować w tym zakresie duża dowolność.

Przyczyny bezdomności

Zjawisko bezdomność uwarunkowane jest wieloczynnikowo, między innymi poprzez zmniejszoną zdolność do samodzielnego życia i radzenia sobie. Poddania się wymaganiom współczesnego społeczeństwa, niewielką odporność na sytuacje trudne, czy też marginalizację społeczną.

Andrzej Przymeński podkreśla, że zjawisko bezdomności „warunkowane jest na dwu względnie autonomicznych poziomach - mikro i makrospołecznym. Na obu z tych poziomów mogą wytworzyć się warunki wystarczające do popadania poszczególnych osób w bezdomność”.

Teresa Sołtyśiak (1997) - badaczka zjawiska bezdomności, twierdzi, że przyczyną bezdomności jest wypadkową splotów, determinant i okoliczności egzystencjalno-losowych jednostek uwikłanych w mikro i makrospołeczne warunki życia.

Jedną z klasyfikacji przyczyn bezdomności jest podział dokonany przez Eugeniusza Moczka (1999) i wyróżnia on przyczyny wynikające:

- z sytuacji społeczno-ekonomicznej kraju, w tym wzrostu bezrobocia, postępującej likwidacji hoteli robotniczych, braku miejsc w szpitalach, zakładach opiekuńczych, domach

pomocy społecznej, braku opieki nad wychowankami domów dziecka po ukończeniu 18 lat, braku ośrodków dla nosicieli wirusa HIV;

- z sytuacji prawnej, polegającej na możliwości wyeksmitowania lokatora „do nikąd” za długi i zaległości w opłatach czynszowych;
- z przyczyn związanych z patologiami, w tym z powodu alkoholizmu, przestępczości, odrzucenia lub braku opieki ze strony najbliższych, rozwodu lub trwałego rozpadu więzi formalnych lub nieformalnych, prostytucji kobiet, przemocy w rodzinie;
- z przyczyn natury socjopsychologicznej, w tym świadomego wyboru innego sposobu życia, odrzucenia obowiązującego systemu wartości;
- przyczyn osobowościowych, w tym poczucia niższości, osamotnienia, wstydu, przekonania o złym świecie i ludziach.

Wśród przyczyn leżących po stronie samych bezdomnych wymienia: czynniki związane z zakłóconym procesem socjalizacji w grupach pierwotnych, w tym:

- złego przygotowania do samodzielnego życia, brakiem możliwości samodzielnego mieszkania, niemożnością zamieszkania z najbliższymi po rozwodach, separacjach, powrotach z więzienia;
- przyczyny związane z nieumiejętnością przystosowania się do sytuacji społeczno-ekonomicznej, w tym poddawanie się przedmiotowemu traktowaniu przez pracodawców, brakiem możliwości zatrudnienia się za godziwą płacę;
- przyczyny związane z nieprzystosowaniem się do sytuacji obyczajowo-kulturowej, w tym traktowanie współmałżonków jako własności, rozwody, niełożenie na rodzinę;
- przyczyny związane z piciem i nadużywaniem alkoholu.

Danuta M. Piekut-Brodzka (2000) dokonuje klasyfikacji przyczyn bezdomności wskazując na: alkoholizm, narkomanie, HIV/AIDS, zaburzenia psychiczne i osobowości, niepełnosprawność, wolny „wybór”, przestępczość i nieprawidłową resocjalizację, wydarzenia losowe, przebieg interakcji w zbiorowościach społecznych, polityka społeczno-ekonomiczna (polityka mieszkaniowa, przepisy prawa, sytuacja na rynku pracy, zabezpieczenia społeczne, sposób funkcjonowania instytucji pomocowych). Z kolei Bogna Bartosz i Ewa Błażej (1995) dokonują następującej typologii przyczyn bezdomności:

- przyczyny społeczne – bezrobocie, likwidacja hoteli robotniczych, brak opieki nad wychowankami domów dziecka po ukończeniu

18 roku życia, brak miejsc w domach pomocy społecznej dla osób starszych;

- patologie i choroby – alkoholizm, narkomania, prostytucja, przestępczość, znęcanie się nad rodziną;
- uwarunkowania psychologiczne – wybór innego stylu życia;
- regulacje prawne – możliwość eksmisji bez wskazania lokalu socjalnego.

Michał Porowski (1995) upatruje przyczyn bezdomności m.in. w:

- zmianach demograficznych, ruchliwości społecznej;
- recesji gospodarczej oraz sprzężonym z nią bezrobociem i ubożeniem społeczeństwa;
- niewydolności polityki mieszkaniowej (kryzys taniego budownictwa, kurczenie się komunalnych zasobów mieszkaniowych, wzrost cen mieszkań czynszowych, brak lokali zastępczych);
- redukcji nakładów budżetowych na pomoc społeczną.

Adam Przymeński (1998) dokonuje klasyfikacji przyczyn zjawiska bezdomności w sposób następujący:

- sieroctwo lub półsieroctwo;
- przedwczesne usamodzielnienie się w warunkach niepełnej dojrzałości życiowej;
- przebycie procesu socjalizacji w domu dziecka;
- zakłócenie więzi w rodzinach pochodzenia;
- konflikty rodzinne;
- przedawnienie więzi rodzinnej;
- rozpadanie się rodzin prokreacji;
- złe stosunki z własnymi dziećmi;
- złe wywiązywanie się z zadań rodzicielskich;
- zakłócenia zdolności przystosowawczych;
- zły stan zdrowia;
- niska konkurencyjność na rynku pracy;
- alkoholizm;
- pobyty w zakładach karnych;
- osamotnienie.

Autor ten zaznacza, że wśród osób bezdomnych wyraźnie nadreprezentowane statystycznie są osoby pochodzące z:

- rodzin wielodzietnych;
- rodzin niepełnych;
- rodzin ubogich;
- rodzin z niskim statusem społecznym rodziców.

Okoliczności te często komponują się z rzeczywistymi przyczynami bezdomności.

Analizując przyczyny powstawania bezdomności w krajach Wspólnoty Europejskiej w latach 1991–1992 (*Bezdomność w krajach Wspólnoty Europejskiej w latach 1991–1995*, Warszawa 1994; o tym też [Ogonowska 1995] wskazano na cztery podstawowe powody:

- czynniki materialne, jak utrata mieszkania czy niedostatek finansowy;

- czynniki rodzinne, obejmujące problemy małżeńskie, gwałty i samotność;
- czynniki osobiste, np. zdrowie fizyczne i umysłowe;
- czynniki instytucjonalne, czyli pobyt w więzieniach, uchodźstwo.

Badacze zajmujący się zjawiskiem bezdomności, określając jego przyczyny, lokalizując je najczęściej po stronie różnorodnych uwarunkowań strukturalnych i społecznych ekonomicznych i politycznych – czyli czynników zewnętrznych. Z drugiej strony wskazują też na uwarunkowania psychologiczne i osobowościowe tkwiące w samych osobach bezdomnych. Stąd wskazania jednej przyczyny lub grupy przyczyn bezdomności jest bardzo trudne i ogromnie komplikuje badaczom sformułowanie uniwersalnej definicji bezdomności.

Kategoryzacja bezdomnych

Podobnie jak w przypadku definicji bezdomności, tak w kwestii kategoryzacji bezdomnych nie ma zgody między badaczami. A. Duracz-Walczak (1996) dzieli osoby bezdomne w sposób następujący:

- według stanu psychofizycznego:
 - bezdomni zdolni do samodzielności życiowej (zdrowi, w wieku produkcyjnym)
 - bezdomni niezdolni do samodzielności (wiek, kalectwo, choroba przewlekła)
- według postawy wobec własnej sytuacji życiowej:
 - bezdomni z przymusu (nie pogodzeni ze swoim aktualnym statusem społecznym)
 - bezdomni z wyboru (pogodzeni ze swoim aktualnym statusem społecznym)

Na podstawie tych kryteriów autorka wyodrębnia cztery kategorie osób bezdomnych:

- zdolni do samodzielności życiowej bezdomni z przymusu,
- niezdolni do samodzielności życiowej bezdomni z przymusu,
- zdolni do samodzielności życiowej bezdomni z wyboru,
- niezdolni do samodzielności życiowej bezdomni z wyboru.

Małgorzata Pisarska (1993) dokonuje podziału bezdomnych na:

- bezdomnych z wyboru,
- bezdomnych z przymusu,

- bezdomnych tymczasowych.

Skala zjawiska bezdomności

Zjawisko bezdomności w Polsce jest zjawiskiem masowym. Jego rozmiary są na tyle duże, że nie można precyzyjnie określić rzeczywistej liczby bezdomnych. Liczby te w zależności od tego, kto je podaje, znacznie różnią się od siebie.

Jedną z nielicznych naukowych prób oszacowania liczby osób bezdomnych podjął się w roku 2001 Andrzej Przyemeński w swojej pracy pt. „Bezdomność jako kwestia społeczna w Polsce współczesnej”. Autor założył, że proporcja pomiędzy bezdomnymi, którzy są objęci pomocą placówek a nocującymi w innych miejscach wynosi 1:1. Na podstawie tej metody określił, że liczba osób bezdomnych w Polsce w 2000 roku mieściła się w przedziale 24000–45000.

Trudności z ustaleniem skali tego zjawiska wynikają z faktu, że część osób bezdomnych uzyskuje pomoc z kilku źródeł, ponadto bezdomni znacznie częściej niż inne grypy przemieszczają się po kraju, bądź nie korzystają z oferowanych oficjalnie form pomocy.

Trudne do uchwycenia parametry ilościowe i duża dynamika tego zjawiska podnoszą znacznie jego rangę wśród współczesnych problemów społecznych.

Ministerstwo Pracy i Polityki Społecznej szacuje, że około 20 000–30 000 osób bezdomnych jest uprawnionych do korzystania ze świadczeń zgodnie z ustawą o pomocy społecznej. Organizacje pozarządowe, których rolą jest także bycie rzecznikiem osób bezdomnych, często zawyżają faktyczną liczbę osób bezdomnych. Stowarzyszenie MONAR zajmujące się osobami bezdomnymi podaje, że w Polsce jest 300–500 tys. bezdomnych. Liczby te z pewnością są znacznie zawyżone.

Pomoc bezdomnym

W Polsce osobom bezdomnym pomoc świadczą instytucje administracji samorządowej i rządowej oraz organizacje pozarządowe. Do instytucji administracji publicznej należą m.in.:

- ministerstwo Pracy i Polityki Społecznej,
- ośrodki pomocy społecznej, - administracje samorządowe, - służba zdrowia.

Zgodnie z *Ustawą z 12 marca 2004 r. o pomocy społecznej* pomoc osobom bezdomnym należy do zadań własnych gmin. Pomoc ta może mieć formę udzielenia schronienia, zabezpieczenie posiłku, ubrania, a także zasiłków celowych na pokrycie wydatków na świadczenia zdrowotne. Osoba bezdomna może zostać objęta indywidualnym programem wychodzenia z bezdomności, polegającym na wspieraniu osoby bezdomnej w rozwiązywaniu jej problemów życiowych, w szczególności rodzinnych i mieszkaniowych oraz pomocy w uzyskaniu zatrudnienia. Indywidualny program wychodzenia z bezdomności winien być opracowywany przez właściwego pracownika socjalnego wraz z osobą bezdomną.

W ustawie cytowanej podkreśla się w sposób szczególny, że ośrodkiem wsparcia dla osób potrzebujących pomocy jest środowiskowy dom samopomocy, dzienny dom pomocy, schronisko i dom dla bezdomnych oraz klub samopomocy.

Duże miasta wraz z miejscami noclegowymi, stworzyły także inne placówki wspomagające system pomocy. W Warszawie istnieją dzienne Pogotowie Interwencji Społecznej dla Bezdomnych. Placówki te udzielają pomocy materialnej, informacji, porad prawnych, pomagają wyrobić utracone dokumenty, prowadzą punkt wydawania odzieży, udzielają porad medycznych. Prowadzone są też programy wychodzenia z bezdomności oraz profesjonalna terapia odwykowa.

System pomocy społecznej dla bezdomnych, zarówno na szczeblu gminy czy województwa, oparty na sektorze samorządowym, nie jest w pełni wydolny. Brakuje kompleksowych, systemowych rozwiązań problemu bezdomności. Nieprecyzyjne regulacje prawne powodują niejasność kompetencji istniejących instytucji pomocowych. To powoduje, że współpraca między nimi pozostawia wiele do życzenia.

Problem bezdomności w Polsce z roku na rok staje się coraz poważniejszy. Powodem tego są między innymi trwające jeszcze przemiany społeczno-gospodarcze, przejawiające się bezrobociem, eksmisjami, zapaścią na rynku mieszkaniowym oraz mocno ograniczona pomoc bezdomnym, na skutek złej sytuacji finansów państwa. Trudności napotykają też

działania zapobiegające poszerzaniu się tego zjawiska i programy wyprowadzania z bezdomności. Systematyczne opracowania z dziedziny polityki społecznej podkreślają jednak narastające tempo zjawiska, wykraczanie jego zasięgu poza grupy i środowiska tradycyjnie kojarzone z bezdomnością.

Podsumowanie

Problem bezrobocia w Polsce jest jednym z najbardziej złożonych i najtrudniejszych do rozwiązania w polityce społecznej. Wszelkie badania tego zjawiska, szacowanie jego skali, tworzenie prawa sprzyjającego wychodzeniu z bezdomności musi uwzględnić specyfikę tego problemu. Zjawisko bezdomności w Polsce jest jeszcze słabo zbadane. Brakuje szerszych i wyczerpujących opracowań poświęconych bezdomności. Nie ma też, poza wyjątkami, opracowań poświęconych metodologicznym problemom związanym w ogóle z badaniem tego zjawiska. Przekłada się to na trudności z określeniem skali zjawiska bezdomności oraz liczby samych bezdomnych.

Bezdomność, jako problem społeczny w świadomości obywateli naszego państwa zaistniała dopiero w ostatnich latach. Zachodzące w Polsce zmiany gospodarcze i społeczne na początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia ujawniły to zjawisko. Nie powstały jednak urzędowe statystyki ludzi bezdomnych. Do tej pory nie oszacowano liczby tych osób, nie określono dynamiki zjawiska i zmian w strukturze populacji.

Taki stan rzeczy może wpływać na skuteczność organizowania systemu pomocy osobom bezdomnym.

Dotychczasowe rozwiązywanie tego problemu musi zostać objęte zorganizowanym i profesjonalnym systemem pomocy, opierającym się na prawie i poszanowaniu godności każdego człowieka.

Bibliografia

1. Piekut-Brodzka D., *O bezdomności. Aspekty fenomenologiczne*, Starzyński M., *Współpraca organizacji pozarządowych i administracji publicznej w systemie pomocy dla osób bezdomnych* (red.), Stowarzyszenie Klon/Jawor 2002.

2. Przyemeński A., *Bezdomność jako kwestia społeczna w Polsce współczesnej*, Wyd. Akademii Ekonomicznej w Poznaniu, Poznań 2000.

3. Starzyński M., *Współpraca organizacji pozarządowych i administracji publicznej w systemie po-*

mocy dla osób bezdomnych (red.), Stowarzyszenie Klon/Jawor 2002.

4. Ustawa z dnia 12 marca 2004 roku o pomocy społecznej (Dz. U. 2004 nr 64 poz. 593), (Dz. U. 2008 r. nr 115), (Dz. U. 2009 r. nr 6 poz. 33).

Autor tekstu, doc. dr Romuald Dobrzeński, jest pracownikiem naukowym Szkoły Wyższej im. Pawła Włodkowicza w Płocku i prorektorem ds Filii tej uczelni w Wyszkowie.

Tekst jest skróconą i nieco zmodyfikowaną jego wersją wydrukowaną w książce *Patologia społeczna. Wybrane zagadnienia*, pod. red. Marka Borowskiego i R. Dobrzeńskiego w Wydawnictwie NOVUM, Płock – Wyszków 2009.

Józef KABAJ

Racjonalny antagonizm

Etyka w szkole

(Uwagi do programu nauczania etyki w szkołach)

Kwestia nauczania etyki w polskiej szkole, która ostatnio wyraziście powróciła w debacie publicznej, dojrzała, jak nigdy dotąd, do koniecznych rozwiązań, które nauczaniu etyki nadadzą status całkowicie równorzędny z nauczaniem religii, to jest zapewnią wszystkim chętnym, przynajmniej we wszystkich szkołach ponadpodstawowych, nieskrępowany dostęp do wiedzy etycznej.

Rozwiązań tych wszystkich kwestii, także na poziomie kształtowania programu nauczania etyki, może być wiele. Na kilka ważnych aspektów tej kwestii zwraca uwagę drukowany tekst dr Józefa KABAJA.

Redakcja

1

W pierwszej części podstawy programowej, którą mam pod ręką, czyli w jej „celach edukacyjnych”, czytamy, że chodzi o „rozwijanie wrażliwości moralnej, kształtowanie rozpoznawania wartości moralnych oraz zdolności odróżniania dobra i zła, dokonywanie trafnej oceny moralnej podejmowanych działań, przyjmowanie odpowiedzialności za słowa i czyny, podjęcie samokontroli i pracy nad sobą”.

Słowa te wywołują wątpliwości i pytania. Celem edukacyjnym ma być „dokonywanie trafnej oceny moralnej podejmowanych działań”? Do kogo się to odnosi? Do nauczyciela, że ma „trafnie oceniać” podejmowane przez siebie działania? Właśnie te edukacyjne na przykład? Czy może chodzi o to, żeby uczyć ucznia („na nauczyciela”) trafnego oceniania cudzych działań? Lecz do tego w pierwej „Marcin” sam by musiał się nauczyć – ewentualnie od innego „Marcina” – takowych „trafnych” wy-

roków czy sądów. Tak to się mści zniesienie lekcji filozofii w szkołach średnich, na których czytało się przynajmniej fragmenty dialogów platońskich. Ich bohater, uznawany za najmądrszego (jak głosi legenda, nawet przez samego Apollina), uczył bowiem swoich rodaków skromności, zwłaszcza w ocenianiu „działań” innych ludzi. Ale też autorom takiej koncepcji nauczania etyki w szkołach zapewne nie chodzi o to, żeby zapoznawać uczniów z dorobkiem myśli „pogańskiej”, w szczególności zaś z krytycyzmem Sokratesa w odniesieniu do wieszczków i innych wróżbitów, ze stoicyzmem, czy też by – uchwycić boże – „zarażać” ich sceptycyzmem, oraz zachęcać w ten sposób młodzieży do myślenia. **Wszak sceptycyzm, jak słyszymy nader często, to nic innego jak cyniczne krytykanctwo w odniesieniu do pobożności!** A lektura Sekstusa Empiryka mogłaby uczniom uświadomić, że celem sceptyków, od Pirrona z Elidy poczynając, było wnikliwe badanie, tj. spraw-

dzanie, czy rzeczy faktycznie tak się mają, jak o tym zapewniamy ci, którzy wiedzą „lepiej”, czyli „inaczej”. Z powodu oporu przeciwko tej wątpiać krytycznej postawie, szerzonej przez sceptyków czasów nowożytnych, dopiero w początkach XX wieku obalono „dogmat”, za którym stał autorytet samego Arystotelesa, iż lew boi się koguta.

Nauczyciel z filozoficznym przygotowaniem mógłby też postawić sobie inny cel, mianowicie podjąć analizę pojęć moralnych i rozumienia wartości, czy badanie w oparciu o bogaty materiał źródłowy (z mediów czy sieci) konsekwencji określonych wyborów moralnych i sądów. Zamiast uczenia kwalifikowania postaw i czynów podług danych „odgórnie” kryteriów – mógłby uczyć myślenia logicznego i systematycznego.

Takie na przykład „rozwijanie wrażliwości moralnej”, o którym mowa w podstawie programowej, byłoby realne wówczas, gdyby – po pierwsze – poczucie moralne wyniesione przez ucznia z domu było zbieżne z formacją ideową nauczyciela, a po drugie, gdyby ucznia łączył z nauczycielem związek uczuciowy oparty na obopólnej sympatii, a co za tym idzie na szczerości. Po trzecie zaś, gdyby było możliwe, aby relacje pomiędzy nimi miały charakter symetryczny, tzn. żeby uczniowie mieli swoje dzienniki, do których wpisywaliby swoje oceny każdej lekcji (jak została przeprowadzona i co z niej wynieśli); a co najmniej, gdyby uczeń sam sobie wystawiał ocenę wiążącą. Wtedy by sam także wiedział, co umie i do czego się nadaje. To zaś w obecnym stanie rzeczy, tj. przy aktualnym ustroju szkolnym, nie wydaje się możliwe.

Drugi cel, wedle podstawy programowej, to jak czytamy „kształtowanie rozpoznawania wartości moralnych oraz zdolności odróżniania dobra od zła”. Cóż to znaczy? Że nauczyciel będzie mówił, co uznaje za – rozpoznaje jako – wartość moralną? Że będzie podpowiadał, co jest dobre, a co złe? Czyli, na przykład, że cierpienie jest dobrem? I że wobec tego nie ma powodu, aby go unikać, zapobiegać cierpieniu swojemu lub innych, bronić ofiar przed ich krzywdzicielami oraz po prostu uśmierzać bólu? Wszystko po to, aby uczniowie uszlachetniali się przez cierpienie bądź zarabiali sobie w ten sposób na szczęście w życiu wiecznym? Gdybym w ten sposób uczył etyki, a właściwie moralności, uczniowie zaraz by mnie zapytali,

czy sam używam środków przeciwbólowych, albo też się uszlachetniam nie używając ich. **Czy podaję swemu dziecku np. środki łagodzące ból gardła, czy też uczę je znosić cierpienie w pokorze i oddaniu wobec Stwórcy, który zsyłając to cierpienie okazuje mu swoją miłość?**

Następnie, czym celem edukacyjnym jest „dokonywanie trafnej oceny moralnej podejmowanych działań”? Przecież podstawa programowa to zbiór wytycznych dla nauczycieli i szkół! Mamy kolejny dowód na to, że program ten został napisany na kolanie i niespójnie.

To samo dotyczy szczegółowych zagadnień do przerobienia na lekcjach. Kilka w miarę rzeczowo sformułowanych tematów, powtarzanych zresztą w nieco odmiennych ujęciach jako osobne kwestie, oraz istny zalew problemów „z sufitu”. Przykłady takich problemów podam nieco później, gdyż teraz przechodzę do drugiej części podstawy, w której określone zostały zadania szkoły. Są nimi, wedle autora lub autorów podstawy programowej: „uświadamianie istotnego znaczenia zasad i wartości moralnych w rozwoju osobowym człowieka, w kształtowaniu wzajemnych stosunków między ludźmi oraz w życiu publicznym, kształtowanie rozumienia własnej indywidualności i chronienia osobowej tożsamości przed zagubieniem w kulturze masowej, uświadamianie znaczenia samokontroli i konieczności pracy nad sobą dla osobowego rozwoju, pomoc w kształtowaniu więzi z rodziną, ojczyzną i kulturą na gruncie przyjmowanych wartości, pomoc w kształtowaniu relacji z otoczeniem opartych o właściwą hierarchię wartości”.

Co do pierwszego zadania, czyli „uświadamiania istotnego znaczenia zasad i wartości moralnych w rozwoju osobowym człowieka”, uważam, że jest to komunał (ogólnik), a poza tym bardziej by się może przydało zwrócenie uwagi na to, jak zasady funkcjonują; z analizy tej praktyki moralnej wyjdzie ewentualnie, jakie mają znaczenie te lub owe reguły, względnie nawet na ile są istotne. Lecz to sprawa – moim zdaniem – raczej pod rozwagę nauczycieli niż uczniów. **Nauczyciel mówiący co jest istotne, ważne, wartościowe byłby zwykłym moralizatorem, którego młodzież nie lubi, albo nawet doktrynerem, którego by nie cierpiała.**

Dalej mowa o „kształtowaniu rozumienia własnej indywidualności i chronienia osobowej tożsamości przed zagubieniem w kulturze masowej”. Szkoła ma – zatem – kształtować w uczniu/uczennicy rozumienie siebie samego/samej? A jak już je ukształtuje (owo rozumienie) podług zadanego wzorca, ma dodatkowo nauczyć podopiecznych obrony tej wpojonej tożsamości przed zagrożeniami ze strony „kultury masowej”? Czyli wychodzi na to, że byłaby to nauka przeciwstawiania się sobie. Jako że na kulturę masową składa się zwykle praktykowanie właśnie miliona wzorców osobowych – czyli w sumie jednego wspólnego ideału osobowej tożsamości. Tak jak to w rzeczywistości wychodzi: święty przeciwko świętemu, wbrew sobie.

2

Przykazanie piąte: „Nie zabijaj” (także etyki). Niech więc etyka będzie etyką, czyli nauką o moralności, nie zaś jej tłumieniem lub namiastką. Metaetyka bowiem to moim zdaniem typowy błąd „mnożenia bytów ponad konieczność”, przeciwko któremu Wilhelm Ockham 7 wieków temu skierował swoją „brzytwę”. Teoria teorii, to zajęcie dla bardzo wąskiej (na szczęście) grupki amatorów myślenia w najwyższym stopniu abstrakcyjnego. Albo też mamy tu do czynienia z próbą przejęcia i zawłaszczenia zwykłego oraz systematycznego namysłu nad moralnością przez jakąś szumnie brzmiącą teorię doktryny lub jako coś z półki Najwyższej Prawdy. Tymczasem w dziale podstawy programowej o nazwie „treści nauczania” już na czwartej pozycji (z 45 zagadnień) spotykamy temat „kwestie metaetyczne”. Czy mamy na tej lekcji – lub nawet może i na paru jednostkach lekcyjnych – dzielić się z uczniami refleksjami bądź wątpliwościami co do przedmiotu, zakresu, metod i sprzeczności w poglądach określonych formacji (doktryn) lub orientacji (kierunków) etyki współczesnej? Są, owszem, pewne nowe tendencje i teorie we współczesnej refleksji nad moralnością, którą nazywam tutaj etyką, i której tożsamości bronię. Ale to przecież sprawa do omawiania na etycznym seminarium bądź na kongresie etyków, a nie w 1 klasie liceum! Takie kwestie, jak ta na przykład: czy sądom etycznym przysługuje wartość logiczna (prawdziwość – fałszywość)?

Kolejna treść podstawy programowej, na którą zwracam uwagę, to „człowiek jako osoba i jego działanie”. Wygląda mi to na przykład „kwestii metaetycznej”, którą wypadałoby zrealizować zadając lekturę *Osoby i czynu*, tj. dzieła kardynała Karola Wojtyły. A potem odpytać, podpowiadając uczniom ewentualnie właściwą analizę oraz interpretację.

„Etyczna analiza aktywności ludzkiej” – to, jak się domyślam, badanie zgodności poszczególnych form działalności ludzi z określonym wzorcem moralnego postępowania. Mamy zatem analizować np. to, czy referendum lub inne głosowanie jest właściwą formą rozstrzygnięcia o słuszności decyzji oraz ustawowych rozstrzygnięć w kwestiach o moralnym wydźwięku. Czyli chodzi o to, czy obywatele lub Zgromadzenie Narodowe mają prawo przesądzać dajmy na to o dopuszczalności gier hazardowych, tj. pokera na pieniądze, ruletki, „jednorekich bandytów” (automatów do gry na pieniądze) itd., względnie czy ma takie prawo Sąd Rzeczypospolitej lub inny trybunał czerpiący natchnienie także „z innych źródeł” – niekanonicznych lub niepokrywających się z określoną tradycją religijną; a odwołując się, powiedzmy, do sondaży opinii publicznej. Moim zdaniem – mogą się mylić – to nie jest dobry temat do dyskusji z młodzieżą około piętnastoletnią. Aż się prosi o powołanie Rady Starszych, czyli ludzi cieszących się powagą i kompetentnych. Tylko że w naszym ustroju taką radę – z decyzyjnymi prerogatywami mogliby powołać jedynie posłowie i senatorowie. A ci w sam raz uważają się za najmądrszych i nie widzą potrzeby, aby ich ktoś wyręczał w stanowieniu prawa czy w decydowaniu o tym, co godziwe, a co nie. Uważam, że jeżeli będziemy dopuszczać uczniów do dyskusji o kompetencjach czy wyrokach sądów i trybunałów, to będziemy kontynuować obecny stan rzeczy: że jajka uważają się za uprawnione do tego, aby krytykować kury. Przykładem poseł ledwie opierzony, który nie zostawia suchej nitki na wyroku Trybunału Konstytucyjnego lub Stanu. Wiem, że te wyroki bywają kontrowersyjne. Jednak nie każdy z nas jest predysponowany do tego, by je kwestionować. A co dopiero uchylać. Mamy przecież wzorzec platoński Sokratesa, który nie zgadzał się z sentencją wyroku wydanego przez ateński Sąd Powszechny, lecz poddał się obowiązującemu prawu, mimo że miał sposobność ucieczki. O

tym przykładzie można by mówić z młodzieżą i go analizować za pomocą platońskiego przekazu (tj. tekstu odpowiedniego dialogu).

Cała ta moja tyrada wypływa z prostego faktu, że w podstawie programowej wyrażono się nazbyt ogólnikowo; nie podając, jaka aktywność ludzka miałyby być analizowana. I to tak, żeby nie gasić ducha, a zarazem aby nie narażać sędziów na odwet ze strony przestępców poprzez obniżanie ich autorytetu. Chyba że sędziowie się myślą „z automatu”, jak to jest w reżimach totalitarnych. Co już mamy na szczęście za sobą.

3

Zostawiam teraz na chwilę etyczną analizę dalszych „treści” podstawy programowej dla nauczania etyki. Chcę bowiem poruszyć tutaj pewną aktualną sprawę, dla której rozumienia wypadałoby może poświęcić jedną rozmowę z młodzieżą. Chodzi mi o pewne niestandardowe sposoby zarabkowania młodocianych. Zupełnie odmienne od takiego na przykład zbierania kambryjskich otwornic (Foraminifera) i sprzedawania ich muzeum paleologicznemu.

Na dobrą sprawę – albo na złą – młodzież nie ma obecnie moralnego kośćca, jak to się kiedyś mówiło. Chcę przez to powiedzieć, że nie wie na pewno – albo w ogóle – czy i jaką wartość moralną ma takie a takie postępowanie. Obawiam się nawet, że nie wie, co to takiego moralna dyscyplina. A co dopiero karność. To znaczy, że pewnych rzeczy robić nie wolno. Na przykład uprawiać prostytucji, czyli odpłatnej miłości, jeśli się nie ma skończonych 18 lat. Nie rozumie, że ten, kto ma skończone, może, a ten, kto nie – nie może. Co z tego, że znaczna jej część została wychowana lub wychowała się za czasów Papieża Polaka, albo była wychowywana lub jest wychowywana przez tych, którzy ze łzami uwielbienia w oczach i z najwyższym uniesieniem słuchali i żegnali Jana Pawła II? Jest amoralna – tzn. nie posiada określonej orientacji moralnej – bo się jej nie wbija określonych reguł i zasad ciężką ręką. Co wcale nie znaczy jednak, że dzisiejsza młodzież jest zła lub choćby trudniejsza od swoich poprzedników. Jeżeli zechce przyjąć lub zrozumie, że coś jest właściwe, to przyjmie i ewentualnie się do tego zastосуje. Tę metodę nazwałbym z kolei „lekką

ręką” lub wychowaniem perswazyjnym. Czyli na rozum. Przy czym, niestety, rozum mamy ostatnimi czasy taki, że najczęściej znaczącą rolę – jeżeli nie decydującą – odgrywa przy decyzjach (także przy moralnych wyborach) opłacalność. Bo tego ja, tj. młodzież, nauczyliśmy i uczymy obecnie kolejne pokolenie. Niezapisaną tabliczkę (*tabula rasa*), moralnie indyferentne pokolenia. To już któraś z kolei, wcale nie pierwsza taka generacja. Ponieważ sami tacy właśnie jesteśmy, tj. pokolenie rodziców, często i dziadków. Moralna galareta.

Nie dotyczy to, rzecz jasna, całej młodzieży i wszystkich wychowawców. Jeśli rodzice wiedzą coś na pewno – jak np. to, że potęgą dziesięciu jest 100 a nie żadna inna liczba – ich dzieci przeważnie też się tego trzymają, że tą potęgą jest 100, a nie 200. Jeżeli rodzice są pewni, że określone czyny lub rodzaje działalności są złe lub haniebne – jak np. kradzież lub naciąganie podstępą działalnością marketingową (typu: telefon komórkowy, wart na rynku około 500 zł, „dostaniesz za jedną złotówkę”) – i nie uprawiają tego rodzaju aktywności, to jest szansa, że ich dziecko też nie podejmie pracy w firmie, w której wymaga się od zatrudnionych, żeby wymyślali lub stosowali przez kilkanaście godzin na dobę oszukańcze triki akwizytorskie. Jeżeli zaś mama lub tata uważa, że wszystko ma swoją cenę (w sensie: za odpowiednie pieniądze można kupić wszystko, a nawet każdego), dziecko nasyka takim przekonaniem i jedyną „świętością” dla niego – w każdym razie naczelną – będą owe właśnie pieniądze, choćby nawet były zbrukane.

Do tej refleksji skłoniła mnie m. in. lektura materiału z katowickiego portalu „Gazety Wyborczej”, autorstwa Marcina Pietraszewskiego, z 23 lutego 2010. Oto jego header:

„Katowicka policja przygotowała program ostrzegający dzieci przed prostytucją. Powód? Co drugi katowicki gimnazjalista twierdzi, że zna koleżankę lub kolegę, którzy uprawiają seks w zamian za prezenty. – „Galerianki” masowo przenoszą się z centrów handlowych do internetu - przyznaje Jakub Śpiewak, prezes fundacji Kidprotect.pl”.

I dalej:

„To pierwszy w polskiej policji edukacyjno-prewencyjny program poświęcony prostytucji nieletnich. Jego autorką jest sierżant Adriana Mazur z komendy w Katowicach. Przyznaje,

że zainspirował ją słynny film „Galerianki” o uczennicach sprzedających się w centrach handlowych.

- Wszyscy wiedzieliśmy, że problem istnieje, ale tak naprawdę nikt nie znał jego skali, bo prostytutka nie jest karalna, a ujawnianie procedury nie leży zarówno w interesie nieletnich, jak i ich klientów - mówi sierżant Mazur.”

Zwracam uwagę, że chodzi o nieletnich - najczęściej nieletnie, czyli dziewczynki - mających od 13 do 16 lat. Mam tego pełną świadomość, co to za wiek, ponieważ mam wnuczkę mającą 16 lat. Nie jestem natomiast pewien, czy sierżant Mazur ma taką samą orientację co do nieletniości, skoro mówi - w tym kontekście - że prostytutka nie jest karalna. Dla jasności: nie znaczy to, że jestem za karalnością prostytutki. Ta rzecz mnie w tej chwili nie obchodzi (w ogóle też mało mnie to interesuje). Jestem zaś przeciwko sprowadzaniu tego, o czym mowa w nagłówku, do prostytutki. Ponieważ w powszechnym obiegu jest określenie, iż to „najstarszy zawód świata”. Natomiast w przypadku trzynasto, czternasto i piętnastoletnich dzieci - boć to jeszcze nie młodzież w dzisiejszych czasach, kiedy rodzice będący już często emerytami utrzymują dwudziesto i trzydziestoletnie „dzieci” (czego dowodem także powszechne zdrabnianie ich imion) - mówienie o zawodzie byłoby wystawianiem społeczeństwu świadectwa hańby. Czyli każdemu z nas dorosłych. Hańba, hańba, hańba. Tylko czy jeszcze ktoś pamięta, co to słowo znaczy? Smutno się robi na taką myśl.

Przy czym nie jest hańbą, dla jasności, wspomniane zdrabnianie imion czy wspieranie finansowe swego potomstwa. Jest konsekwencją wyższego standardu życia i możliwości „pieszczenia się” z dziećmi wyrosniętymi. Czego za moich czasów pacholących i w danym mi środowisku nie było. **Ale też nie zazdroścę tego dzisiejszym dzieciom i młodzieży, ponieważ nie życzę im cierpień, przez które przechodziło moje pokolenie.** Nauczył mnie tego sąsiad, do którego udało mi się kiedyś dotrzeć, gdy odwoził syna furmanką do internatu. Kiedy wyraziłem zdziwienie - miłe, nie przeczę - że on, który tak surowo wychowywał swoje dzieci i gonił je do ciężkiej, jak na ich siły, a w każdym razie mozolnej pracy (zarówno syna, jak córkę), teraz zaprzął konia, aby odwieźć syna 8 kilometrów, usłyszałem w odpowiedzi: „Ciesz się,

że mogę im tę wygodę zapewnić; a przez to, że ich goniłem do ciężkiej roboty, będą bardziej szanować ten dar, którym jest możliwość uczenia się; żeby w przyszłości nie musiały się tak męczyć, jak ja musiałem”. On wiedział, co trzeba było wiedzieć i robił, co trzeba było robić. Toteż jego dzieci też to wiedziały i obydwójce uczyły się pierwszorzędnie. Ojciec się nie wstydził ani swojej niecodziennej i - dodajmy - niepośledniej zgoła dobroci, był wręcz z siebie dumny, gdy pozwolił wyprostowany (strzelając z bata w środku wsi), i potem - kiedy jego dzieci osiągały kolejne szczeble wykształcenia i kierownicze stanowiska - dopiero czuł się godnie! I nie musiał ich o nic prosić później, w sensie wyrazów wdzięczności, kiedy oboje z matką stali się zniedołężniałymi starszankami. Kiedy ich dzieci dorosły, wyprzedzały wszelkie ich potrzeby.

Hańbiące natomiast jest dla nas dorosłych to, że dzieci i młodzież - mając względnie komfortowe warunki życia (tj. w porównaniu z tymi, o których wyżej napisałem) - dla zaspokojenia snobistycznych zachcianek typu wyszukanych ciuchów, gadżetów, kosmetyków, a nawet niejednokrotnie używek - oddaje się niewyżytym potrzebom erotycznym w sposób uwzględniający normy moralne i obyczajowe przyjęte przez ogół społeczeństwa jako właściwe bądź dopuszczalne. Moralność, owszem, ewoluuje, lecz są pewne stałe potrzeby, jak wolność i bezpieczeństwo, praca i utrzymanie, godność i pozycja społeczna, odpoczynek i rozrywka. I nie czujemy się dobrze, gdy się nas stawia w sytuacji wybierania pomiędzy nimi, albo kiedy czujemy, że sami musimy wybrać lub zamienić jedno dobro - pochodną wartości - na drugie. Albo gdy uświadomiamy sobie, że nasza partnerka lub partner przeżywa z nami rozkosz wtedy - i tylko wtedy - kiedy jest pewna lub pewien kosztownego prezentu. Po czym dziwimy się dzieciom, że nas dorosłych naśladują mniej lub bardziej udolnie. Może nawet bardziej, gdyż dysponują atutami o najwyższej atrakcyjności. Nauka nie idzie w las...

4

Te dwie tendencje ścierają się ze sobą od niepamiętnych czasów. Dlatego wydaje mi się ważne, by nie indoktrynować młodzieży przesądzeniami, co jest - tzn. ma być - dla niej

ważne, a nawet istotne. **Opowiadałbym się za tym, żeby dać jej możliwość wyboru swojej tożsamości.** To przecież zupełnie inna sprawa niż ta, o której pisałem powyżej, czyli wyrokowanie lub sądenie o wyrokach trybunałów. W podstawie programowej napisano mianowicie, że mamy rozmawiać – może nawet tylko wyklądać młodzieży – o „celu i sensie ludzkiej egzystencji”. Za moich czasów zaś mówiło się studentom filozofii, że tego rodzaju kwestie bywają wprawdzie przesądzone arbitralnie, lecz nie jest to ta specjalność (kształcąca znawców „celu i sensu”), do której przygotowują ich studia filozoficzne. Można, owszem, rozmawiać, o różnych koncepcjach, a nawet wizjach celu i sensu, lecz moim zdaniem wyłącznie opisowo: że tu czy tam istnieją takie a takie orientacje światopoglądowe, poszczególni ludzie lub zespoły kreuja i rozpowszechniają określone systemy sensów i celów. Tymczasem autor „podstawy programowej” (do nauczania etyki w szkołach średnich) nie swoje. Widać to choćby po kolejności, w jakiej te pojęcia ustawił. Najpierw idzie cel, a dopiero za nim sens. W danej tradycji zawsze uznaje się za ważniejsze to, co jest pierwsze w parze (tj. w najprostszej sekwencji), a za najważniejsze to, co stoi jako pierwsze na liście. A więc to nie sens określa cel, lecz przeciwnie: cel decyduje o sensie. Tak też można podchodzić do rzeczy. Ma to nawet pewien sens. Tylko broń boże go ujawniać!

Tak mógłbym rozprawiać i o wielu kolejnych zagadnieniach z działu „treści nauczania”. Z braku miejsca – a może i sensu – zaniecham jednak dalszej analizy. Ograniczę się już jedynie do powtórzenia raz jeszcze pytania, przewijającego się ciągle w tych moich rozważaniach: **czy zadaniem szkoły jest wpajanie określonej doktryny moralnej, obowiązującego w danej szkole jej rozumienia i wykładni prezentowanej przez zespół uczący lub danego nauczyciela?** Jak to czytamy w końcowych zdaniach „zadań szkoły”, że jej obowiązkiem jest „pomoc w kształtowaniu więzi z rodziną, ojczyzną i kulturą na gruncie przyjmowanych wartości, pomoc w kształtowaniu relacji z otoczeniem opartych o [sic! – JK] właściwą hierarchię wartości”.

Co to bowiem za wiedza, nauka, przedmiot szkolny wreszcie, który pokazuje, co ma być oraz jak należy myśleć i postępować? Przypominam

raz jeszcze rzeczy oczywiste. Biologia, chemia czy fizyka opisują świat, jak go widać okiem i przyrządami. Wychowanie fizyczne (WF) zaś uczy, jak dbać o kondycję psychofizyczną (pod starym hasłem „w zdrowym ciele” itd.). Matematyka i logika – jak sobie radzić w świecie liczb czy z aberracjami myślenia. Dla higieny życia duchowego natomiast starożytni wymyślili swoiste ćwiczenia filozoficzne, a wśród nich znajdujemy pokazną poałą refleksji etycznych. Jeżeli w tym jest nawet dużo abstrakcji, porównań i przenosi, marzeń czy utopii, jednym słowem „wody”, jest to z pewnością woda tak czysta, że można się w niej przegładać. Albo i umyć się w niej czasem. I o to mogliby dbać wspomniani wyżej „starsi”, żeby była jak najczystsza. Nie myliłbym jednak z nią innej wody, w której przegładanie się może doprowadzić – jak niesie określona tradycja – do zobaczenia diabła zamiast (może nawet jako?) własnego odbicia.

Ale jak tu się dziwić tytułowemu antagonizmowi, skoro w obecnym programie nauczania filozofii pod nazwą etyki jeden pomysł jest bardziej kontrowersyjny od drugiego? Skoro autor tego opracowania (podstawy programowej) nie odróżnia aspektu etycznego od moralnego, jeżeli mówi w dziale „osiągnięcia” o „znajomości podstawowych zasad i wartości etycznych”, gdy chodzi o zasady i wartości moralne? Kiedy autor nie umie zbudować logicznie spójnego zdania? Jak to zresztą czytamy w dalszej części „osiągnięć”: „umiejętność dokonywania wyborów moralnych i podejmowania decyzji w świetle wartości moralnych i tworzenia hierarchii wartości” itd. Może miało być „oraz tworzenia hierarchii wartości”? Ale czym by to w takim razie miało być osiągnięciem owo tworzenie hierarchii wartości? Uczniów? Czy to nie za wiele, jak na ugór nieorany od wieków? Na którym ciągle mamy do czynienia z mieszanym wiedzy z powinnością?

Na ten błąd zwracał szczególną uwagę już David Hume (1711–1776). Bierze się to moim zdaniem z określonego nawyku językowego, być może nawet celowo utrwalanego. Mawiamy bowiem zwyczajnie: „wiem, że mam iść jutro do pracy”. To „mam” stoi tak blisko owego „wiem”, że wraz z nim znaczy często (w myślowym skrócie) tyle, co „powiniennem”. W potocznym myśleniu i mowie, rzecz jasna. Lecz dopuszczanie takich skrótów w naukowym dyskursie sieje

istne spustoszenia w rozumowaniach. W szkole zaś hamuje – tak uważam – rozwój intelektualny i moralny. Bo z tego, że istnieją jakieś zasady, wcale nie wynika, że ta lub owa reguła jest przestrzegana. Jaką wartość praktyczną ma w takim razie cała teoria powinności, czyli etyka normatywna? Jestem (ja), jest kodeks (ewentualnie jego autor), więc powinienem robić to a to (względnie coś innego zgoła)? To za mało, uważam, do zbudowania w świadomości ucznia poczucia tożsamości, któremu towarzyszyłaby chęć odpowiadania za własne postępowanie i życie. Taka

wola bowiem, wydaje się, może się rodzić tylko na bazie świadomego samostanowienia.

Przez co rozumiem, że – po stronie szkoły i w ogóle dorosłych – może być mowa jedynie o umiejętnym podpowiadaniu poprzez prezentację przebogatej przecież palety możliwości samookreślenia bądź samostanowienia, do wyboru. A nie jednego wzoru świętości i jedynej doktryny moralnej. Ale któż wie o owym bogactwie, skoro się o nim nie mówi uczniom przez całe wieki?

Autor artykułu jest doktorem filozofii, wykładowcą etyki na WSP TWP w Katowicach, uczy także – od ponad 10 lat – filozofii i etyki w kilka liceach ogólnokształcących w Krakowie.

POSTSCRIPTUM OD REDAKCJI

W nawiązaniu do powyższego tekstu dr Józefa KABAJA warto przytoczyć opinię wypowiedzianą właśnie na temat nauczania etyki w szkole przez minister Edukacji Narodowej Katarzynę HALL w wywiadzie udzielonym tygodnikowi „PRZEGLĄD” (nr z 26 września 2010).

W odpowiedzi na pytania red. Roberta Walenciaka minister powiedziała: „Przede wszystkim chcemy doprowadzić, przynajmniej w tej chwili, do egzekwowania obowiązujących przepisów prawnych. Bo one nie zawsze są respektowane. Chodzi o to, że jeżeli dziecko albo rodzic wybiera etykę, to żeby ona była dostępna. Żeby musiała być dla dziecka zorganizowana”. I dalej: „Dzisiejsze prawo dopuszcza możliwość organizowania etyki w grupach międzyklasowych, międzyszkolnych. Tak się dzieje w nauczaniu religii innych wyznań, że jest parafia, która mówi – w szkole nie możemy uczyć, bo uczniów jest za mało, ale w parafii to zrobimy. I państwo to finansuje, oceny wpisuje na świadectwa. Ale to się udaje dlatego, że jest ktoś, kto jest zainteresowany, aby powstała grupa międzyszkolna – poza szkołą. Natomiast w przypadku etyki przeważnie tej determinacji brakuje. Nie ma jej po stronie samorządu, żeby taką międzyszkolną grupę zorganizować, więc chcemy twardszymi zapisami prawnymi to wymusić. Żeby nie było tak, że jak nie uzbierała się grupa w szkole –to nic nie robimy. Będziemy tu naciskać”.

I jeszcze jedno: „Wyprowadzić religii ze szkół do sal katechetycznych się nie da” – dopytuje dziennikarz i otrzymuje taką oto odpowiedź minister Hall: „Sam minister edukacji do tego nie wystarczy. Jest to i dziś możliwe, jeśli taka jest wola strony kościelnej”.

Paweł BORECKI

III RP: czy to już państwo wyznaniowe? (cz. II)

Podczas prac nad projektem Traktatu Ustanawiającego Konstytucję dla Europy władze polskie konsekwentnie popierały zamieszczenie w preambule tego aktu odwołania do pierwiastka religijnego.*

Pomimo iż Konstytucja RP z 1997 r. w art. 25 ust. 1 wprost stwierdza, że Kościoły i inne związki wyznaniowe są równouprawnione, to obserwuje się w treści szeregu aktów normatywnych oraz w praktyce działania organów

* Jest to druga i ostatnia część studium cenionego znawcy spraw wyznaniowych w Polsce.

władzy publicznej odchodzenie do wspomnianej normy ustrojowej. Sprzyja temu pokretna interpretacja wymienionego przepisu ustawy zasadniczej przez Trybunał Konstytucyjny.²⁵ Przede wszystkim pomimo upływu ponad 12 lat od ratyfikacji polskiego konkordatu z 1993 r. do dnia dzisiejszego nie został zrealizowany art. 25 ust. odnoszący się do formy regulacji statusu innych Kościołów i związków wyznaniowych. **Nie zawarta została żadna umowa między rządem a zainteresowaną wspólnotą religijną na podstawie rzeczonego przepisu i nie została uchwalona w oparciu o nią żadna ustawa, określająca stosunki między państwem a określonym nierzymskokatolickim związkiem wyznaniowym.** Związki wyznaniowe złożyły w tej sprawie do Rady Ministrów już 11 wniosków. Oznacza ten stan rzeczy, że mniejszościowe Kościoły i inne związki wyznaniowe w szczególności nadal są pozbawione analogicznych jak Kościoł katolicki, formalnych gwarancji stabilności ich sytuacji prawnej.

W zakresie treści regulacji prawnych zasada równouprawnienia został naruszona jeśli chodzi o skuteczności na gruncie prawa państwowego **małżeństw wyznaniowych.**²⁶ Takie skutki prawne ustawodawca przyznał na podstawie ustawy z 24 lipca 1998 r. o zmianie ustaw – Kodeks rodzinny i opiekuńczy, Kodeks postępowania cywilnego, Prawo o aktach stanu cywilnego, ustawy o stosunku państwa do Kościoła katolickiego w Rzeczypospolitej Polskiej oraz niektórych innych ustaw (Dz. U. nr 117, poz. 757) jedynie małżeństwom zawartym zgodnie z normami wewnętrznymi jedynastu Kościołów i związków wyznaniowych, a nie wszystkich zainteresowanych wspólnot religijnych, posiadających własne prawo małżeńskie. Zaniechanie wspomniane dotknęło szczególnie kilkadziesiąt tysięcy muzułmanów mieszkających Polsce. Tylko jeden z kilkunastu sondowanych związków wyznaniowych – Kościół Katolicki Mariawitów – nie był zainteresowany, aby normy jego prawa małżeńskiego uzyskały skuteczność w państwowym porządku prawnym. Wierni większości mniejszościowych związków wyznaniowych są zatem zmuszeni ponosić dodatkowe, wcale niebagatelne, koszty odrębnego zawarcia małżeństw cywilnych oraz konfesyjnych.

Kościółowi większościowemu zapewniono szczególne udogodnienia w dziedzinie

prowadzenia duszpasterstwa w tzw. zakładach zamkniętych. Na mocy art. 17 ust. 3 Konkordatu dla realizacji uprawnień do wykonywania praktyk religijnych i korzystania z posług religijnych przez osoby przebywające w zakładach penitencjarnych, wychowawczych, resocjalizacyjnych oraz opieki zdrowotnej i społecznej, zarówno publicznych jak i prywatnych, podmioty prowadzące mają obowiązek zawarcia umowy z kapelanami, skierowanymi przez właściwego biskupa diecezjalnego. Chodzi zapewne przede wszystkim o odpłatne umowy o pracę, czy świadczenie usług. Obowiązek zawarcia umów, o których mowa w art. 17 Konkordatu, spoczywa nawet na instytucjach należących do innych wspólnot religijnych, o ile z ich usług korzystają katolicy. O obligatoryjnym zatrudnieniu kapelanów katolickich mówi art. 31 ust. 2 ustawy z 17 maja 1989 r. o stosunku państwa do Kościoła katolickiego w RP w odniesieniu do państwowych zakładów: leczniczych oraz zamkniętych zakładów opieki społecznej. Bardzo zbliżone postanowienia sformułowano w art. 27 ust. 2 ustawy z 5 lipca 1991 r. o stosunku Państwa do Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego. W przypadku kapelanów pełniących posługę w zakładach penitencjarnych ustawodawca przewidział obowiązek zawarcia umów o nieodpłatne świadczenie usług.

W stosunku do ośmiu Kościołów chrześcijańskich: katolickiego, prawosławnego, ewangelicko-augsburskiego, ewangelicko-metodystycznego, polskokatolickiego, zielonoświątkowego, baptystycznego i adwentystycznego kierownicy państwowych zakładów opieki zdrowotnej i pomocy społecznej zostali zobowiązani do przeznaczania odpowiednich pomieszczeń na kaplice lub, w wyjątkowych przypadkach, do udostępnienia innych pomieszczeń w celu umożliwienia organizowania nabożeństw i zbiorowych praktyk religijnych. Po za tym żadnym innym związkiem konfesyjnym nie stworzono równie stabilnych i korzystnych warunków prowadzenia działalności duszpasterskiej w omawianym zakresie.

Zróznicowane są gwarancje prawne dla związków wyznaniowych w dziedzinie świadczenia posługi duszpasterskiej w siłach zbrojnych. Trzy Kościoły: katolicki, prawosławny oraz ewangelicko-augsburski posiadają zorganizowane struktury duszpasterstwa działające w ramach sił zbrojnych.²⁷ Siedmiu

kościółom zapewniono organizowanie opieki duszpasterskiej w wojsku przez duchownych danego wyznania, wyznaczonych przez władze zwierzchnie tych kościołów²⁸. Duchowni ci nie są żołnierzami zawodowymi. Wyznaczają ich władze duchowne w porozumieniu z Ministrem Obrony Narodowej. Mają prawo wstępu na teren jednostek wojskowych. Swą posługę pełnią w terminach uzgodnionych z ich dowódcami. Kościół Ewangelicko-Reformowany oraz Związek Gmin Wyznaniowych Żydowskich otrzymały gwarancje organizowania opieki duszpasterskiej dla żołnierzy poza terenem jednostek wojskowych, jeżeli w miejscowości stacjonowania sił zbrojnych lub w najbliższej okolicy znajduje się odpowiednio – kościół lub kaplica, względnie – synagoga bądź dom modlitwy oraz jeżeli nie koliduje to z ważnymi obowiązkami służbowymi żołnierzy. W stosunku do wspólnot religijnych wpisanych do rejestru kościołów i innych związków wyznaniowych ustawodawca ogólnie zagwarantował możliwość wypełniania przez nich funkcji także wobec także wobec osób odbywających służbę wojskową lub zasadniczą służbę w obronie cywilnej. Mogą być w związku z tym zawarte odpowiednie porozumienia ze związkami wyznaniowymi o uregulowanej sytuacji prawnej o pełnienie funkcji duszpasterskich przez duchownych tych wyznań. Natomiast współcześnie martwą literą prawa pozostają przepisy przedwojennych aktów ustawodawczych przewidujące, w miarę potrzeb powołanie służb duszpasterskich: karaimskiej, staroobrzędowej i muzułmańskiej. Szczegółowe uregulowanie ich organizacji pozostawiono do kompetencji Ministra Obrony Narodowej. Zróżnicowanie gwarancji pełnienia misji duszpasterskiej w wojsku, co prawda nie jest zgodne z ideą równouprawnienia wyznań, ale znajduje uzasadnienie w zróżnicowanej liczebności wyznawców poszczególnych konfesji w siłach zbrojnych, a przede wszystkim w specyficznym, niejako zamkniętym charakterze, tego rodzaju służb.

Zróżnicowane są zasady odliczania darowizn na kościelną działalność charytatywno-opiekuńczą. Najkorzystniejsze są wspomniane reguły w odniesieniu do Kościoła Katolickiego oraz Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego. Osoby fizyczne i prawne dokonujące darowizn na działalność charytatywno-opiekuńczą prowadzoną przez

te konfesje mogą je w całości odliczyć od podstawy opodatkowania podatkiem dochodowym. Prawo wyraźnie zatem stymuluje działalność charytatywno-opiekuńczą dwóch największych wyznań. W przypadku innych Kościołów działających na podstawie szczegółowych ustaw wyznaniowych z lat 1994–1997 tak korzystne regulacje prawne dotyczą jedynie darowizn dokonanych przez osoby fizyczne. W pozostałych przypadkach, w szczególności w odniesieniu do niechrześcijańskich wspólnot religijnych działających na podstawie odrębnych aktów ustawodawczych, możliwość odliczania przez podatników darowizn na działalność charytatywno-opiekuńczą jest ograniczona. Ten stan prawny doczekał się jednak legitymizacji ze strony Naczelnego Sądu Administracyjnego w uchwale z 14 marca 2005 r. (FDS 5/04, ONSAiWSA 2005, Nr 3, poz. 49).²⁹

Nierespektowanie w pełni równouprawnienia wyznań występuje także w dziedzinie prawnych gwarancji autonomii związków wyznaniowych. Zasadnicza różnica występuje między wyznaniem, których relacje z państwem zostały określone na podstawie indywidualnych aktów ustawodawczych, a konfesjami działającymi na podstawie przepisów ustawy z 17 maja 1989 r. o gwarancjach wolności sumienia i wyznania. Związki wyznaniowe działające na podstawie indywidualnych regulacji, z wyjątkiem Wschodniego Kościoła Staroobrzędowego nie posiadającego hierarchii duchownej, Muzułmańskiego Związku Religijnego oraz Karaimskiego Związku Religijnego, dysponują szerszym zakresem autonomii wewnętrznej – rządzą się własnym prawem wewnętrznym, którego treści państwo nie bada a jedynie przyjmuje do wiadomości. Ustrój wyznań podlegających rejestracji przez Ministra Spraw Wewnętrznych i Administracji określają ich statuty, których zarówno pierwotna treść, jak i ewentualne późniejsze zmiany, muszą być zgodne w szczególności z przepisami ustaw chroniącymi bezpieczeństwo i porządek publiczny, zdrowie, moralność publiczną, władzę rodzicielską lub podstawowe prawa i wolności innych osób. Organ rejestrowy ma prawo badania statutu pod kontem zgodności z wymienionymi przepisami prawa, może żądać od wnioskodawców wyjaśnień w sprawie jego treści, zwracać się do organów państwowych o zbadanie prawdziwości danych zawartych w

statucie. Kontrola nad treścią prawa wewnętrznego zarejestrowanych związków wyznaniowych jest zatem wzmożona.

Zaostrzone są w stosunku do wspomnianej kategorii wyznań sankcje z tytułu naruszenia norm prawa, także prawa wewnętrznego. W przypadku stwierdzenia prawomocnym wyrokiem sądu, że działalność zarejestrowanego związku wyznaniowego rażąco narusza przepisy prawa chroniące wymienione wartości lub postanowienia statutu organ rejestrowy wykreśla wspólnotę wyznaniową z rejestru, w następstwie czego traci ona osobowość prawną i nie może korzystać ze szczególnych uprawnień przysługujących związkowi wyznaniowemu. Tego rodzaju odpowiedzialności zbiorowej ustawodawca nie przewiduje w przypadku rażącego naruszenia prawa przez wyznania działające na podstawie indywidualnych ustaw. Ich ewentualna delegalizacja wymagałaby uchylecia odpowiednich aktów ustawodawczych. Jest to bardzo mało prawdopodobne, wymaga bowiem zgodnie z art. 25 ust. 5 Konstytucji zgody zainteresowanego wyrażonej w formie umowy z rządem. **Najszerszy zakres autonomii prawnej przysługuje na podstawie konkordatu z 28 lipca 1993 r. Kościołowi katolickiemu. Wyraża się to m.in. w recepcji przez prawo polskie w szerokim zakresie norm prawa kanonicznego.** W szczególności, zgodnie z art. 4 traktatu, osobowość prawną w świetle prawa polskiego uzyskują z mocy prawa kanonicznego chwilą powołania przez kompetentną władzę kościelną. Powiadomienia odpowiednich organów administracji publicznej nie ma już znaczenia konstytucyjnego lecz jedynie dowodowe. Organy państwowe nie mogą zatem w żaden sposób limitować powstawania osób prawnych Kościoła katolickiego przewidzianych przez jego prawo wewnętrzne. Tylko innego rodzaju jednostki organizacyjne Kościoła katolickiego mogą uzyskać osobowość prawną na zasadach przewidzianych przez prawo polskie, czyli np. w wyniku rejestracji przez sąd (fundacje kościelne, organizacje katolickie), albo w drodze rozporządzenia Ministra Spraw Wewnętrznych i Administracji (organizacje kościelne).

W przypadku innych związków wyznaniowych możliwości ingerencji państwa w proces upodmiotowienia ich jednostek organizacyjnych jest odmienny. Rozszerzenie kategorii

tych jednostek organizacyjnych wymaga zgody ustawodawcy, a uprzednio – rządu, w formie umowy z daną konfesją. Uzyskanie osobowości prawnej przez inne niż przewidziane w aktach ustawodawczych jednostki organizacyjne następuje z reguły w drodze rozporządzenia Ministra Spraw Wewnętrznych i Administracji, na wniosek właściwych władz kościelnych. W przypadku związków wyznaniowych wpisanych do rejestru Kościołów i innych związków wyznaniowych MSWiA warunkiem uzyskania osobowości prawnej przez wspólnotę religijną, ewentualnie przez jej jednostki organizacyjne jest akceptacja postanowień statutu w tym zakresie przez organ rejestrowy.

Naruszenia zasady równouprawnienia związków wyznaniowych występują ponadto w dziedzinie regulacji niektórych aspektów sytuacji majątkowej związków wyznaniowych. Szczególnie korzystnie uregulowano możliwość nieodpłatnego otrzymania gruntów przez osoby prawne Kościoła katolickiego, które podjęły po 8 maja 1945 r. działalność na Ziemiach Północnych i Zachodnich. Mogą one uzyskać grunty: do 5 ha dla gospodarstw rolnych domów zgromadzeń zakonnych, do 15 ha dla gospodarstw rolnych parafii oraz do 50 ha dla gospodarstw rolnych diecezji, seminariów duchownych diecezjalnych i zakonnych, czy domów zgromadzeń zakonnych prowadzących szkoły, działalność oświatowo-wychowawczą, opiekuńczo-wychowawczą oraz charytatywno-opiekuńczą.

W przypadku innych związków wyznaniowych takie możliwości wsparcia zostały przewidziane w ograniczonym zakresie.

Uprzywilejowanie Kościoła katolickiego w porównaniu z innymi konfesjami w ostatnich latach stało się wyraźne w dziedzinie finansowania z budżetu państwa kształcenia duchowieństwa. Na mocy trzech ustaw z 5 sierpnia 2006 r. przewiduje się dofinansowywanie ze środków państwowych Papieskiego Wydziału Teologicznego w Warszawie, Papieskiego Wydziału Teologicznego we Wrocławiu oraz Wyższej Szkoły Filozoficzno-Pedagogicznej „Ignatianum” w Krakowie. W wymienionych uczelniach kształcą się przede wszystkim kandydaci na katolickich duchownych. W szczególności przy PWT w Warszawie jest afiliowanych szereg katolickich wyższych seminariów duchownych. Tym samym wymienione placówki także są dofinansowywane z budżetu

tu państwa. Na PWT we Wrocławiu kształcą się alumni tamtejszego Archidiecezjalnego Seminarium Duchownego. Takich samych zasad dofinansowania szkolnictwa duchownego nie wprowadzono jednak dla innych wyznań posiadających seminaria (szkoły) duchowne na poziomie szkół wyższych. Wciąż oczekuje na uchwalenie projekt ustawy o finansowaniu Prawosławnego Seminarium Duchownego w Warszawie z budżetu państwa. Nie otrzymują wsparcia państwowego również analogiczne placówki prowadzone przez Kościół Adwentystów Dnia Siódmego, Kościół Chrześcijan Baptystów, czy Kościół Ewangelicko-Metodystyczny.

We współczesnej Polsce liczbę osób nie identyfikujących się z żadnym z oficjalnie działających Kościołów i innych związków wyznaniowych można szacować na ponad 3 mln.³⁰ Państwo nie dostrzega jednak dostatecznie potrzeb tej grupy w sprawach religijno-światopoglądowych. Konstytucja z 1997 r. nie przewiduje takich samych gwarancji prawnych ochrony wolności myśli, sumienia i wyznania dla niewierzących, jak dla wyznawców światopoglądu fideistycznego – definiuje jedynie wolność religii. **Zasadniczo gorszy status prawny w porównaniu ze związkami wyznaniowymi posiadają organizacje laickie.** Ustawa zasadnicza całkowicie o nich milczy, zaś ustawa o gwarancjach wolności sumienia i wyznania wzmiankuje bodaj tylko raz. Nie przewiduje jednak ich rejestracji na analogicznych zasadach jak wspólnot religijnych. Nie mogą one korzystać z gwarancji autonomii i niezależności w relacjach z państwem, jak wspólnoty religijne. **Organizacje laickie są pozbawione możliwości korzystania z tak szerokich zwolnień podatkowych, jak te dotyczące związków wyznaniowych.** W warunkach szerokiej obecności pierwiastków religijnych, głównie chrześcijańskich, w sferze życia publicznego osoby niewierzące mają prawo czuć się wyobcowane i traktowane jak obywatele drugiej kategorii.³¹

Odrzucenie w praktyce zasady neutralności światopoglądowej państwa oraz popieranie przez państwo wartości religijnych (chrześcijańskich) wiąże się z częściowym zanikiem funkcjonalnej odrębności państwa oraz związków wyznaniowych, przede wszystkim Kościoła katolickiego. Na mocy art. 4 konkor-

datu dokonana się w Polsce szeroka recepcja prawa kanonicznego do państwowego porządku. Zarazem uległy ograniczeniu uprawnienia prawodawcze organów państwowych na rzecz Stolicy Apostolskiej i innych władz Kościoła katolickiego w zakresie uzyskiwania osobowości prawnej przez kościelne jednostki organizacyjne.³²

Duchowni jedenastu kościołów i związków wyznaniowych, mających od roku 1998 prawo udzielania ślubów konfesyjnych ze skutkami cywilnymi, w istocie rzeczy pełnią funkcję urzędników stanu cywilnego.³³

Państwo przyjęło na siebie obowiązek organizowania w publicznych przedszkolach i szkołach nauki religii zgodnie z wolą zainteresowanych. Tym samym zobowiązało się uczestniczyć w urzeczywistnieniu misji wspólnot religijnych. Edukacji religijna jest bowiem jej zasadniczym elementem.

Na wzajemne przenikanie się funkcji służb państwowych oraz struktur Kościoła katolickiego wskazują regulacje prawne dotyczące katolickiego duszpasterstwa w Policji, Straży Granicznej, Służbie Celnej oraz w Siłach Zbrojnych. W szczególności kapelani katolicy oraz odpowiedni przełożeni funkcjonariuszy winni nawzajem wspierać się w zakresie realizacji zadań. Duchowni mają prawo brać udział w naradach służbowych.

Różnorodność oraz znaczny stopień nasilenia pierwiastków konfesyjnych w sferze organizacji i funkcjonowania państwa oraz w ogóle w życiu publicznym uzasadniają twierdzenie, że współczesna Polska to w praktyce państwo wyznaniowe w wersji *soft*, czy też inaczej rzecz ujmując – państwo quasi-wyznaniowe.

Hierarchiczny Kościół katolicki to jedna z najpoważniejszych sił politycznych w kraju, aczkolwiek w ostatnich latach, tzn. po śmierci Jana Pawła II w 2005 r., można mówić o regresie jego społecznego autorytetu. Wskazują na to chociażby liczne, zbiorowe i samorzutne protesty społeczne w kwietniu 2010 r. w związku z decyzją metropolity krakowskiego kard. Stanisława Dziwisza o pochówku zwłok Lecha Kaczyńskiego i jego małżonki w krypcie katedry wawelskiej. Tamą dla procesu konfesjonalizacji państwa nie okazał się wymiar sprawiedliwości, w szczególności Trybunał Konstytucyjny. Organ ten sankcjonował w swoim orzecznictwie, a w istocie rzeczy

utrwał, kolejne prawne przejawy opisywanego procesu.³⁴ Konfesjonalizacja państwa i prawa okazała się tyleż efektem nacisku Episkopatu Polski, co i serwilizmu części klasy politycznej. Trafnie stwierdzili Mariusz Janicki i Wiesław Władyka, że *przez 20 lat wolnej Polski Kościół katolicki osiągnął wszystko co zamierzał, choć nie tyle w sferze duchowej, co politycznej. To politycy dali Kościołowi siłę, która teraz w nich samych budzi respekt. I zniechęca do rozpoczęcia debat, jakie kiedyś przedwcześnie zamknęli.*³⁵

W świetle doświadczeń stosunków państwo-Kościół katolicki w ostatnim dwudziestoleciu celna jest również konstatacja Adama Szostkiewicza, iż *Kościół w Polsce miał zawsze interesy polityczne i polityczną agendę. I to do niej dopasowuje partyjnych koalicjantów. Politykom wydaje się, że to oni wciągają Kościół do swej gry, a jest dokładnie na odwrót.*³⁶

Konstytucja z RP z 2 kwietnia 1997 r. w dziedzinie regulacji stosunków państwo związki wyznaniowe w istotnej mierze okazała się dysfunkcyjna. Nie jest ona instrumentem kształtowania tej sfery życia publicznego. Więcej – pogłębia się stopień nieadekwatności ustawy zasadniczej do realiów stosunków wyznaniowych w współczesnej Polsce. Nadzieją dla osób niewierzących, różnowierców oraz mniejszościowych związków wyznaniowych w zabezpieczeniu przysługujących im uprawnień są instytucje Rady Europy, Unii Europejskiej i ewentualnie ONZ. Proces konfesjonalizacji państwa i życia publicznego zapewne będzie nadal postępował w krótszej i średniej perspektywie czasowej. **W sumie nadaje to czołowej konstytucyjnej zasadzie, iż Rzeczpospolita Polska jest dobrem wspólnym wszystkich obywateli, coraz bardziej deklaracyjny charakter.**³⁷

Przypisy

²⁵ Zob. wyrok TK z 2 kwietnia 2003 r., K 13/02, w sprawach majątkowych Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego krytyczną głosę do tego orzeczenia P. Boreckiego i M. Pietrzaka [w:] „Przeгляд Sejmowy” 2003, nr 5, s. 96–113; ponadto wyrok TK z 14 grudnia 2009 r., K 55/07, w sprawie zasad finansowania wyższego szkolnictwa wyznaniowego,

oraz krytyczną głosę do tego wyroku W. Brzozowskiego [w:] „Państwo i Prawo” 2010, z. 5, s. 126–131.

²⁶ Por. M. Pietrzak, *Prawo wyznaniowe*, Warszawa 2005, s. 256.

²⁷ Ewangelickie-Augsburskie Duszpasterstwo Wojskowe zapewnia także opiekę religijną wyznawcom Kościołów: Ewangelicko-Reformowanego, Ewangelicko-Metodystycznego, Adwentystycznego oraz Chrześcijan Baptystów.

²⁸ Są to Kościoły: Polskokatolicki, Zielonoświątkowy, Starokatolicki Mariawitów, Adwentystów Dnia Siódmego, Chrześcijan Baptystów, Katolicki Mariawitów, Ewangelicko-Metodystyczny.

²⁹ Uchwała całej Izby Finansowej NSA, wraz z jednolitym zdaniem odrębnym ośmiu sędziów oraz głosami: aprobującą R. Mastalskiego i krytyczną autorstwa P. Boreckiego, została opublikowana w „Zeszytach Naukowych Sądownictwa Administracyjnego” nr 2–3 z 2005, s. 77–102 oraz 142–157.

³⁰ Zob. hasło: Polska [w:] *Leksykon krajów świata*, red. M. Bręgiel-Benedyk, tłum. I. Bresińska, Poznań 2010, s. 460, a także: *Wyznania religijne, stowarzyszenia narodowościowe i etniczne w Polsce 2003–2005*, red. G. Gudaszewski, Warszawa 2007, s. 15 oraz *Wyznania religijne, stowarzyszenia narodowościowe i etniczne w Polsce 1997–1999*, red. L. Adamczuk, G. Gudaszewski, Warszawa 2000, s. 14.

³¹ Szerzej na temat statusu prawnego osób bezwyznaniowych w sferze wolności myśli, sumienia i wyznania w: P. Borecki, *Status prawny osób bezwyznaniowych w Polsce*, „Państwo i Prawo”, 2007, z. 4, s. 16–30.

³² Por. J. Szymanek, *Tryb ratyfikacji konkordatu z 1993 roku – główne problemy*, [w:] *Dziesięć lat polskiego konkordatu*, Cz. Janik, P. Borecki, Warszawa 2009, s. 48–49.

³³ Zob. W. Góralski, *Funkcje publiczne duchownego przy zawieraniu małżeństwa konkordatowego*, [w:] *Funkcje publiczne związków wyznaniowych. Materiały III Ogólnopolskiego Symposium Prawa Wyznaniowego (Kazimierz Dolny 16–18 maja 2006)*, red. A. Mezglewski, Lublin 2007, s. 341–350. Szerzej – zob. kompleksową monografię A. Mazglewskiego i A. Tuni, *Wyznaniowa forma zawarcia małżeństwa cywilnego*, Warszawa 2007.

³⁴ Por. W. Sadurski, *Miętkość trybunalska*, „Gazeta Wyborcza” 2009, nr 286, s. 20–21.

³⁵ M. Janicki, W. Władyka, *Politycy w zakrystii*, „Polityka” 2009, nr 39, s. 16.

³⁶ A. Szostkiewicz, *Królestwo wawelskie*, „Polityka” 2010, nr 18, s. 23.

³⁷ Na temat zasady dobra wspólnego zob. szerzej m.in. W. Brzozowski, *Konstytucyjna zasada dobra wspólnego*, „Państwo i Prawo” 2006, z. 11, s. 17–28.

Autor jest doktorem nauk prawnych, adiunktem na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego.

FORUM

FILOZOFICZNO-LITERACKIE

Maria SZYSZKOWSKA

Okiem filozofa

Przyszłość ludzkości

Uzasadnione rozczarowanie rzeczywistością ostatniego dwudziestolecia, a zwłaszcza bezkrytycznym podporządkowaniem się doktrynie neoliberalnej, skłania mnie do zastanowienia się nad przyszłością ludzkości. Zależy ona, podobnie jak teraźniejszość, od stanu świadomości jednostek. Zależy także od podejmowanych czynów, a więc od siły charakterów, a zwłaszcza odwagi przekuwania poglądów na działania. Świadomość człowieka, to czynnik kształtujący egzystencję jednostek oraz dzieje ludzkości.

Człowiek nie jest biernym obserwatorem zachodzących przemian. Nie jest zdeterminowany ani czynnikami biologicznymi, ani środowiskiem, w którym przyszło mu żyć. Odwrotnie. Świadomość człowieka decyduje o rozwiązaniach prawnych – a te o rozstrzygnięciach ekonomicznych i społecznych.

Rozpatrując przyszłość ludzkości, biorę pod uwagę rozpiętość między światem, który jest urzeczywistniony a światem, który być powinien zgodnie z oczekiwaniami twórców idei globalizacji. Inspiratorzy tej idei, to znaczy stoicy oraz Kant, ujmowali człowieka jako część ludzkości. Jednakże wciąż, uogólniając, funkcjonują uprzedzenia rasowe, narodowe, religijne, etc. Idea braterstwa – sformułowana przez stoików wcześniej niż chrześcijańska miłość bliźniego – pozostaje nadal niespełnionym postulatem. Podobnie, zamiast oczekiwanego stanu pokoju, toczą się wojny, w których uczestniczą także ci, którzy głoszą globalizm, co jest paradoksem.

Ideę globalizmu rozwinął Kant w formule imperatywu praktycznego, który jest postacią prawa moralnego, czyli imperatywu kategorycznego. Imperatyw praktyczny brzmi: „Postępuj tak, byś człowieczeństwa tak w twojej osobie, jako też w osobie każdego innego, używał zawsze zarazem jako celu, nigdy tylko jako środka”. Ten nakaz traktowania bez wyjątku każdego przedstawiciela ludzkości jako wartości niepowtarzalnej, czyli jako celu samego w sobie, ugruntował ideę globalizacji, która po raz pierwszy pojawiła się w poglądach stoików.

Nonsensem byłoby zjednoczenie się ze względu na interesy koncernów, które na tej drodze chcą pomnażać własne zyski. Przejawem globalizacji faktycznie zachodzącej jest również kultura masowa. Jednocząc mieszkańców globu, amerykanizuje i obniża stan świadomości.

Ludzkość w przyszłości zapewne przestanie odczuwać wyjątkowość swojej sytuacji w świecie wobec narastających odkryć dotyczących roślin i zwierząt. Pogłębiona wiedza o inteligencji innych istot żyjących niż człowiek, zapewne spowoduje wzrost

szacunku dla innych istot. Na razie z naszego rozumu czynimy połowiczny użytek, skoro o dziejach świata decydują przede wszystkim namiętności, a w tym niepohamowana żądza władzy i pieniędzy.

Współczesnemu pokoleniu przyświeca idea stworzenia globalnego społeczeństwa, w którym zostaną przewyciężone podziały ludzi na rasy, narody, religie, partie polityczne, płeć, skłonności seksualne. Zapewne nowym prawem człowieka zostanie uznane w przyszłości życie w trwałym pokoju.

Należy brać pod uwagę narastanie w przyszłości ruchów migracyjnych oraz towarzyszących im – imigracyjnych. Niepokoje będą się też potęgować z powodu nędzy, głodu i bezrobocia. Tendencji integracyjnej, globalizacji, będzie towarzyszyć przeciwna jej tendencja do dezintegracji, rozpadu, rozczłonkowania.

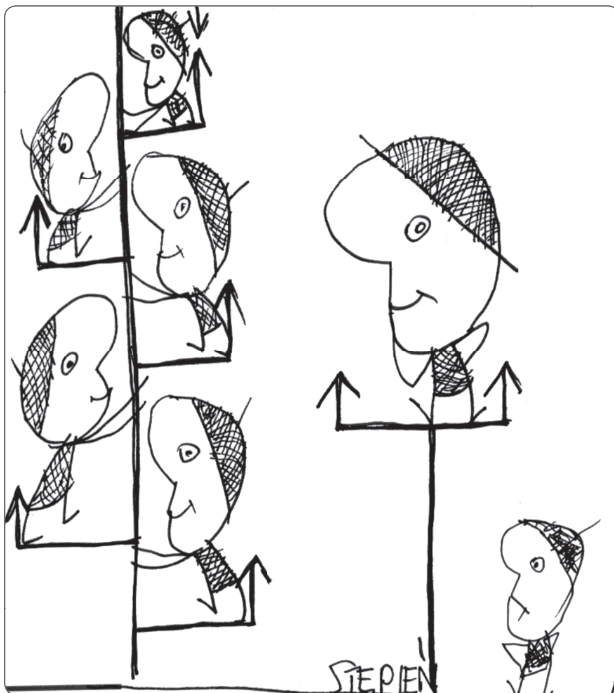
Wiek XXI nie doprowadzi do zaniku idei lewicowych, mimo dominacji poglądów prawicowych. Zapewne partie będą miały mniejsze znaczenie niż obecnie, bowiem wrośnie jeszcze mocniej rozczarowanie do nich. Reprezentują wszak głównie interesy swoich przywódców nie zaś wyborców. Bezrobocie długo jeszcze będzie rodzić biedę w związku z czym niezgoda na niesprawiedliwość będzie prowadzić do kształtowania się ruchów lewicowych. Będą one sposobem hamowania dochodzącego do głosu niekontrolowanego egoizmu, rozbudzonego przez liberalizm ekonomiczny.

Czas wielkich ideałów jedynie pozornie przeminął. Siła pieniędzy, kult tego, co użyteczne oraz duch rywalizacji – można mieć nadzieję, że będzie z czasem wywoływać u wielu osób protesty. **Przewiduję, że przyszła epoka będzie należała do tych o charakterze maksymalistycznym, to znaczy ideały na nowo zaczną wyznaczać sens ludzkiego życia.**

Wiek XXI wymaga przewyciężenia atmosfery narzekania, niezadowolenia i niewiary w lepszą przyszłość. Wymaga zrozumienia potęgi człowieka i wpływu jednostek na los społeczeństwa. Niebezpieczeństwo płynie i będzie płynęło z absolutyzowania jakiegokolwiek hierarchii wartości.

Nasza epoka nie dorasta do pojmowania człowieka jako części całej ludzkości i nie dorasta też do holizmu – idei na miarę przyszłych pokoleń. Holizm głosi jedność wszechrzeczy, a więc zespolenie człowieka nie tylko z ludzkością, ale także z całym kosmosem. Wyklucza tym samym działania niszczące środowisko naturalne.

Przyszłość ludzkości nie musi w sposób konieczny wykazywać postępu. Na razie zaznacza się regres mimo rozwoju cywilizacji. Jest to zjawisko głęboko niepokojące, ponieważ rozporządzamy środkami masowego rażenia. Nie może wystarczyć ludzkości wolność ekonomiczna; liberalizm gospodarczy zostanie zapewne uzupełniony liberalizmem politycznym, światopoglądowym i obyczajowym.



Rys. Jan Stepien

Oda do mądrości

„O, mądrości, iskro bogów,
Gwiazdo Elizejskich Pól...”

- zaśpiewał sobie Przyjaciel do potężnej IX Symfonii Beethovena, wznoszącej się nad jesiennym ogrodem Profesora z małego radioodbiornika na otwartym oknie domu. Zerwał zielone jabłko ze złocącego się drzewa pośrodku sadu o wymiarach działkowego ogródka i wbił w nie zęby w oczekiwaniu na sensację.

Ale usłyszał tylko głos Profesora:

- Przekręcasz historię.

Pomyślał czemuś, że to chyba zwyczajna sprawa u ludzi...Profesor wyłonił się z drzwi domu, niosąc na tacy parujące filiżanki z gorącą herbatą. (Pojawiły się jakieś kłopoty z wątrową, wołał być ostrożny).

Dzień był pogodny i choć słońce siedziało już nisko nad horyzontem, resztki babiego lata snuły się wśród drzew. Przyjaciel sięgnął po herbatę i nie siadając przy stoliku, rzekł:

- Jeśli dobrze rozumiem, zarzucasz mi fałszerstwo. Nie sądzisz, że ja prostuję historię?

- To jest oficjalny hymn naszej europejskiej Unii – przypomniał mu Profesor.

- A czymże jest nasza ukochana Unia, jeśli nie wyrazem mądrości? – zapytał Przyjaciel całkiem poważnie.

- I owszem – zgodził się Profesor. – A radość, o której śpiewamy, jest hołdem składanym tej mądrości.

- W domyśle, co? Dlaczego nie powiedzieć o tym wprost?

- O mądrości trudno mówić wprost...

- A czemuż to, czemuż? Wstydliva to rzecz?

- Okropnie złożona...

Przyjaciel jeszcze raz sięgnął po filiżankę. Siobnął, aż wróble kładące się do snu w pobliskich krzewach poderwały się spłoszone; skrzywił się, bo herbata była chłodna. Pomyślał, że niemądrze jest zwlekać z czymś, co ma przynieść zadowolenie. Zwierzył się z tego Profesorowi i znowu spotkał się z przyganą.

- O krok od hedonizmu twój epikureizm.

- Nie za mądre to?

- Nie, mądre byłoby, gdyby towarzyszyła temu głębsza refleksja. A my jesteśmy dopiero u progu tego stanu.

- Czy to znaczy, że tkwimy jeszcze w głupocie?

Profesor roześmiał się, ale sięgnąwszy po swoją herbatę, i on stracił kontenans.

- I tu jest właśnie pies pogrzebany. Czym jest to, co mieści się pomiędzy mądrością a głupotą? Skoro mądrością jest „wiedza połączona z inteligencją i rozumienie otaczającego nas świata”, jak określają ją nasi encyklopedyści, to głupotą powinien być brak tych przymiotów.

- A tak nie jest?

- Nie, ponieważ przestrzeń pomiędzy „jest” a „nie ma” rozpościera się wokół niczym mgła prawdopodobieństwa.

- Zalewasz, profesorku! - Przyjaciel pogroził mu niedojedzonym jabłkiem, do którego był wrócił po odstawieniu herbaty.- Przemawiasz do mnie jak poeta!

- „Poezja jest bramą do mądrości” - odpowiedział Profesor słowami Grzegorza z Sanoka.

Przyjaciel cofnął swoją rękę z jabłkiem, spróbował go znowu, posmakował, po czym z nieoczekiwanym zainteresowaniem spojrział w stronę starego drzewa.

- Jak biblia? - zapytał.

Profesor szerzej otworzył oczy.

- Tak ją odczytujesz?

- A czy się mylę?

- Uważa się ją za pełnię mądrości.

- To dlaczego nie jest?

- Przedwcześnie zerwano owoc z drzewa dobrego i złego. Był jeszcze niedojrzały.

- Moje jabłko jest słodkie - oświadczył Przyjaciel.

- Mamy już jesień, u zarania dziejów było jeszcze kwaśne.

- Skąd wiesz? Herbata była najpierw gorąca, potem ostygła. Taka jest prawda.

- Brawo! - pochwalił go wreszcie Profesor z rozweseleniem. - Prawda i mądrość w jednym stały domku...

- Ty znowu poezję mi serwujesz.

- Chciałeś mieć swoją odę do mądrości...

- Bo skoro już były: oda do młodości, oda do wolności, oda do radości, a do miłości co drugi poeta ją wyśpiewuje...

- Ta do mądrości nie jest jednak poezją.

- A czymże, mój filozofie?

- Życiem.

Spojrzeli przyjaciele po sobie, a wczesny zmierzch ocienił ich oczy jesienną melancholią.

Lamberto Pignotti z „Minibajek”

Pisarz wyjątkowy, lecz niepewny siebie

Był kiedyś pisarz wyjątkowy, lecz tak niepewny siebie, że nigdy nie mógł się zdecydować, czy napisać dramatyczną powieść poetycką, czy może długi poemat epicki prozą, toteż nie chcąc trwonić słów, które wydawały mu się słusznie dobrem nadzwyczaj cennym, pozostawił niezliczoną ilość czystych stron, by nie obciążać umysłów swoich czytelników i by w ten sposób mogli oni żyć długo i szczęśliwie.

Wacław SADKOWSKI

Lektury nieobowiązkowe

Niby-reprintowa historia inkwizycji

A. HEUS: *Ilustrowana historia Inkwizycji.*

Przekład: Andrzej WIŚNIEWSKI, Wydawnictwo Fontanna, Warszawa 2010, str. 336

Publikacja ze wszech miar intrygująca, w dużym stopniu i z różnych względów zagadkowa.

Po pierwsze: nadano jej formę reprintsu, czyli jakby odtworzono wygląd pierwodruku, opublikowanego w roku 1934. Ale to, co się ukazało przed siedemdziesięciu

sześciu laty nie było pierwszym wydaniem polskiego tłumaczenia książki Heusa, lecz jej wersją frankofońską, opublikowaną w owym roku w Paryżu i Brukseli, nakładem oficyny wydawniczej l'Églantine. I to tę francuskojęzyczną edycję „odtworzono” obecnie w postaci niby-reprintu, przekład polski ukazuje się po raz pierwszy.

Do tamtego, francusko-belgijskiego wydania odnosi się też adnotacja na karcie tytułowej edycji polskiej – „Wydanie II” – i z niego zaczerpnięto całą, nader bogatą i wysmakowaną oprawę ilustracyjną. Do niego także dostosowano format książki, krój czcionek, jakimi ją złożono, okładkę – całą jej formę edytorską. Oraz dumną adnotację: „Przekład z oryginalnego, pełnego wydania”. Sugeruje to, że dzieło napisano w języku francuskim – nosiło tytuł *Histoire populaire et illustrée de L'Inquisition en Espagne*. Nie jest to więc reprint w ścisłym rozumieniu tego edytorskiego pojęcia – jest to raczej wysmakowana edycja na reprint wystylizowana. Ale też nikt jej za reprint nie podaje.

Po drugie: nic nie wiadomo o autorze książki, nie znamy nawet jego pełnego imienia. Grawiury zdobiące edycję w ogóle nie są sygnowane i nie wiadomo, czy zaczerpnięto je z jakichś starych druków, czy też są pastiszami wykonanymi w latach późniejszych. W każdym razie tchną autentyzmem jako dokumentacja graficzna wydarzeń sprzed stuleci i zostały po mistrzowsku wmontowane w tekst, w narrację historyczną snutą przez autora książki.

Po trzecie: tłumacz, które tę francuskojęzyczną publikację znalazł w którymś z francuskich antykwariatów, zachwyił się nią, zakupił i przetłumaczył, nadał swemu przekładowi wszelkie znamiona językowe i stylistyczne, charakterystyczne dla podejmowanych w pierwszych dekadach zeszłego (XX) wieku zabiegów translatorskich z dziedziny historiografii. To prawdziwe osiągnięcie w dziedzinie sztuki przekładu literackiego, bo historiografia nowoczesna wypracowała sobie własny, specyficzny typ narracji, w którym powściągliwa beletryzacja równoważy dokumentalistyczną dokładność zapisu źródeł, a obiektywistyczne ujęcie tematu toleruje zdystansowaną postawę autora wobec przedmiotu, którego owa narracja dotyczy i który budzi w narratorze żywe emocje, a także potrzebę osądzenia relacjonowanych działań i zachowań ludzkich. Przed nadmierną dobitnością tych osądów zaś chroni narratora subtelne, chwilami wręcz finezyjne poczucie humoru.

Wszystko to sprawia, że lektura Ilustrowanej historii Inkwizycji oferuje czytelnikowi niezmiernie bogatą i nasyconą konkretnymi informacjami, a nawet danymi statystycznymi wiedzę o tragicznym żniwie parowiekowej, trwającej od drugiej ćwierci XIII stulecia po trzecią dekadę stulecia XIX zbrodniczej działalności tej instytucji, i to nie tylko w Hiszpanii i na obszarze kolonialistycznego władztwa w toku dziejów lecz także we Francji, Włoszech a przede wszystkim w papieskim państwie rzymskim. Lektura tej książki jako całości jest nie tylko kusząca przez swą obrazowość i narracyjną swadę narratora lecz także w wysokim stopniu kształcąca. Wynika z niej, iż w dziejach postinkwizycyjnych systemów dławienia wolności myśli, włączając w to najbardziej zbrodnicze totalitaryzmy dwudziestowieczne, nie ma właściwie technik ani mechanizmów łamania, upokarzania i unicestwiania ludzi, które by nie miały precedensów i nie zostały zainicjowane represyjną i eksterminacyjną działalnością inkwizytorów. Może tylko oświecimski cyklon B, umożliwiający uśmiercanie ludzi na skalę przemysłową, stanowił *novum*.

Najbardziej zaś przejmujące są w tej książce opisy technik stosowanych do swoistej utylizacji dóbr materialnych zagarnianych ofiarom. To inkwizytorzy wypracowali podstawowe mechanizmy systematycznego zagarniania majątku i dorobku prześladowanych, czyniące z tego proceduru funkcjonującą przez wieki dziedzinę

gospodarki kościelnej i państwowej. Ekspulsja Żydów z Kastylii i Aragonii postanowiona w roku 1492 nie była czynem jednokrotnym; tropienie i prześladowanie tzw. maranów (oskarżanych o zatajanie swej judaistycznej tożsamości religijnej) trwało przez kilka stulecie. Podobnie rzecz się miała z muzułmanami, którzy pozostawali niekiedy na terenach obejmowanych hiszpańską rekonkwistą – ich „spiski” tropiono i „wykrywano” (a często wykreowywano) równie zawzięcie i wytrwale, co również stawało się długotrwałym źródłem dochodów dla wiernych synów Kościoła.

Równie pasjonująco przedstawione są w tej książce sylwetki głównych, a nader licznych w toku dziejów *dramatis personae*: wielkich (i pomniejszych) inkwizytorów, monarchów i grandów, a także papieży. Oceny ich zachowań są zresztą sprawiedliwie zróżnicowane – autor nie przemilcza prób łagodzenia, bądź nawet rozmontowywania represyjnego systemu inkwizycyjnego. Nieprzypadkowo wszakże reformatorzy tego systemu schodzili z tego świata na ogół zanim zdołali w istotniejszym stopniu osłabić inkwizycję.

Nie sposób w krótkiej refleksji wymienić liczniejszych przykładów działań i wydarzeń przedstawionych w tej książce; oprócz lektury całościowej radziłbym podczytywać ją sobie partiami związanymi z innymi lekturami, jakie odbywamy, przedstawieniami teatralnymi o tematyce historycznej, czy też filmami, jakie oglądamy. Przedstawię niniejszym próbkę takiego „podczytywania” – Heusa relację o morderstwie popełnionym przez Filipa II na własnym jego synu, Don Carlosie de Soso: „... syn Filipa II był ambitnym, porywczym młodzieńcem. Te cechy [...] sprawiły, że ojciec dał wiarę swym szpiegom, którzy oskarżali młodego księcia o to, że chce odebrać od Hiszpanii Holandię i założyć tam niepodległe królestwo, którego miał być niezależnym od nikogo władcą.[...] Filip II [...] powiadomił Inkwizycję o tym, czego się dowiedział od swych emisariuszy, dodając do tego kilka szczegółów dotyczących zachowania młodego księcia.[...] Spowiednik młodego człowieka, łamiąc tajemnicę spowiedzi, powiedział królowi o niektórych jego niepokojących wyznaniach.[...] Don Carlos został skazany na śmierć, wyrok jednak został wykonany sekretnie, a mianowicie podano winowajcy do wypicia zatruty bulion, skutkiem czego zmarł w kilka godzin później, krótko po swoich dwudziestych drugich urodzinach.”

Charakterystyczna dla atmosfery moralnej panującej w rewirach inkwizycyjnych była też zacytowana w książce odpowiedź, jakiej udzielił Filip II synowi błagającemu o miłosierdzie, jeszcze przed wyrokiem: „Sam poniosę drewno na stos, na którym miałby spłonąć mój syn, o ile byłby tak samo winien jak ty”. Szczególną cechą piramidalnego zakłamania inkwizycyjnej moralności było spowijanie morderczego okrucieństwa welonem najgłębszej troski o dobro duszy skazanego. Książka zawiera kilka przykładów tak właśnie zakłamanego syno- i ojcobójstwa; zaiste, Pawka Korczagin miał wysoce uduchowione wzory do naśladowania. Proszę teraz sięgnąć po tekst dramatu Fryderyka Schillera *Don Karlos* (najlepiej w świetnym przekładzie Kazimierzy Hłakowiczówny), by się zorientować, jak sugestywną formę przybrało to klasyczne w literaturze światowej zobrazowanie morderstwa dokonanego na własnym synu.

Wszystkiego, co posłużyło mi do – zresztą tylko częściowego – rozszyfrowania intrygującej zagadkowości tej publikacji dowiedziałem się od jej wydawcy, Jacka Marciniaka. Dzielę się tą wiedzą z czytelnikami *Res Humany* (proszę mi wybaczyć to deklinowanie łacińskiego przymiotnika!), ale czy nie należałoby przy następnych publikacjach niby-reprintowych zatroszczyć się o szersze grono ich czytelników i ułatwić im odbiór takich świetnie pomyślanych i gustownie wydawanych książek? A może zresztą nie należy rozwiewać otaczającej je aury tajemniczości?

WŚRÓD KSIĄŻEK

Zdzisław CACKOWSKI

Zdobywanie i zużywanie się doświadczenia ludzkiego. Wyd. UMC-S, Lublin 2010, stron 246 + Literatura, Indeks nazwisk, Indeks terminów.

ZDZISŁAW CACKOWSKI

ZDOBYWANIE
I ZUŻYWANIE SIĘ
DOŚWIADCZENIA
LUDZKIEGO



WYDAWNICTWO UNIWERSYTETU MARIIGURIE SKŁODOWSKIEJ

Gdzie się kończy człowiek?

Gdzie się kończy człowiek przestrzennie i czasowo? – Nigdzie.

Odpowiedź wydaje się absurdalna.

Przecież widoczne są przestrzenne i czasowe granice ludzkiego ciała. Poczęcie i narodzenie to początek, zgon kończy życie człowieka – te krańcowe momenty ludzkiej egzystencji są widocznymi granicami czasowymi. Przestrzenne zaś granice ludzkiego ciała też są banalnie widoczne.

Po co więc pytać?

Profesor Zdzisław Cackowski wyjaśnia, że po to, aby uwolnić się od tego zmysłowo-bezrefleksyjnego obrazka ludzkiego istnienia. Bo przecież człowiek ma ręce, które powiększają obszar jego obecności do granic ich zasięgu. Ale ręce posługują się też coraz bardziej wymyślnymi i ciągle doskonalonymi narzędziami, które ten obszar poszerzają jeszcze bardziej, i to nie tylko do granic bezpośredniego doznawania nieuzbrojonym zmysłami, lecz daleko przestrzennie i czasowo. Ale i to nie wszystko. Człowiek bowiem ma mózg, który pozwala mu wykraczać poza obszar empirycznych doznań, nawet tych osiągniętych za pomocą rozbudowanej aparatury badawczej, i tworzyć hipotezy, teorie, wizje;

nierazko wizje świata, który może istnieć, a może nie, który może być istnieć, a może nie będzie. One są też jego własnością. Te hipotezy, teorie, wizje są niezbywalnym tworem człowieka, są organiczną częścią jego istnienia, jego atrybutami, są częścią jego podmiotowości.

Człowiek, zdaniem profesora Cackowskiego (i nie tylko jego zresztą) tego procesu doskonalenia narzędzi i rozwijania myśli nigdy nie przerwie, nie skończy – w tym sensie granice ludzkiej obecności, granice człowieka są nieskończone. Taka jest treść owego „nigdzie”. Człowiek bowiem to „świat człowieka”, to „całokształt stosunków społecznych” (przypomina autor słynne frazy Karola Marksa).

Człowiek to nie tylko organizm. Mózg człowieka sam nie myśli. Słowo „mózg” to nazwa organu, który ma także wiele zwierząt. Mózg pozbawiony człowieka nie myśli – do myślenia potrzebny jest mu człowiek. Koniecznym pojęciem jest tu „umysł”. To coś zupełnie innego. Mózg jest niezbędny, aby istniał umysł, umysł zaś to atrybut człowieka, a człowiek to ów „świat człowieka”, to „całokształt stosunków społecznych”. Umysł nie jest „w środku” lecz w świecie ludzkiego działania, czyli także poza fizycznymi granicami ludzkiego ciała Człowiek myśli środkami swojej kultury, a ta nie ma raz na zawsze ustalonych granic.

Autor konsekwentnie rozwija materialistyczną teorię ludzkiego doświadczenia, choć owo doświadczenie pojmuje nie wąskoempirycznie, lecz jako nieskończoną całość i ludzkich doznań, i ludzkiego myślenia. Swobodnie adaptuje więc terminy „duch”, „dusza” dla swojego wykładu o człowieku, ale tłumaczy że dusza nie istnieje samoistnie, lecz „oddycha poprzez ciało”, że „umysł jest wcielony”.

Konstruuje swoją teorię warstw „ludzkiego ciała”. Jest ich sześć.

Ciało jest pierwszą warstwą „ludzkiego ciała”, drugą warstwą jest **środowisko „naturalne”** (cudzysłów wskazuje, że owa naturalność jest coraz bardziej przekształcana w środowisko sztuczne), trzecią jest **środowisko techniczne**, czwartą środowisko społeczne, piątą **środowisko językowe**, szóstą warstwą „ludzkiego ciała” jest **środowisko kulturowe** czyli myśli, uczucia wyrażane w rytuałach i obrzędach mityczno-magicznych czy religijnych, w językach filozofii, normach prawa, zasadach moralnych, w językach nauki...

Tu widać, że określenie „ciało ludzkie” w teorii Profesora Cackowskiego nie jest bytem wyłącznie fizyczno-chemiczno-biologicznym, lecz obejmuje to wszystko, co objąć fizycznie i mentalnie może człowiek. W ten sposób teoria ta wchłania w siebie cały ludzki dorobek myśli o człowieku i o wszystkim, cokolwiek istnieje fizycznie i mentalnie: dorobek materialistyczny, idealistyczny i spirytualistyczny; myśl naukową i myśl metafizyczną we wszelkiej postaci. **To obszernie rozszerzenie teorii człowieka może sugerować, że Autor akceptuje ontologie idealistyczne czy religijne, ale przed taką interpretacją broni tę teorię zdecydowanie świecki – pozareligijny i materialistyczny punkt wyjścia. Po pierwsze, Autor sam o sobie mówi „ja – ateusz”, po drugie, w całej tej teorii nie występuje w ogóle, jako przesłanka rozumowania, wiara religijna (widoczna, na przykład, w tomizmie), po trzecie, Autor afirmuje teorię, że religia to doświadczenie wielkiego cierpienia i bezsilności człowieka, a nie, na przykład „dar Boży” czy „objawienie”, po czwarte wreszcie, jego określenia „oddychanie duszy przez ciało” oraz „wcielenie umysłu” nie pozostawiają miejsca na jakąkolwiek interpretację niematerialistyczną.**

Język profesora Cackowskiego jest nowatorski, bo i nowatorskie jest jego spojrzenie na wiele spraw ludzkich. *„Działalność ludzka przebiega w świecie ciężkim (w świecie rzeczy i ludzi) oraz w lekkim (w świecie znaków, w tym znaków językowych), czyli świat człowieka jest podwójny. Jest on światem rzeczy i znaków – przede wszystkim słów. [...] Filozofowie, na przykład, chcą w słowach ująć coraz więcej i więcej rzeczy, odsuwają więc słowa coraz dalej i dalej od rzeczy, a najbardziej zapamiętali w tym dziele potrafią odsunąć je od siebie tak daleko, że już żaden klej ich nie łączy i łączyć nie może. Następuje tu pełne ich wyjałowienie, myślowa/intelektualna dewaluacja. To chyba do takich sytuacji odnosi się wypowiedź Goethego: <wo der Begriff fehlt, da stellt das Wort sich ein> (Gdzie brakuje pojęcia, tam jawi się słowo). Trzeba tu wyraźnie stwierdzić, że słowo takie, bez żadnej myśli, bez nawet najbardziej oddalonego i pośredniego, odniesienia do rzeczy, słowo niesklejone z rzeczą żadną myślą, jest rzeczą i tylko rzeczą. Wprawdzie rzeczą lekką, ale tylko rzeczą. [...] Brak myśli u filozofów zastępuje się słowami lub rzeczami, czyli słowami myślowo pustymi. [...] (I) Gdy myśl łącząca świat słów ze światem rzeczy <wysycha>, wówczas: (a) słowa oddalają się od rzeczy w bezkres albo też (b) słowa spadają na rzeczy i przylegają do nich, tracąc wszelką od rzeczy ciężkich odrębność i wszelki wobec nich dystans, (II) Gdy: (a) słowa oddalają się od rzeczy tak bardzo, że już żadna myśl nie jest w stanie ich ze sobą połączyć, wtedy słowa, po prostu, tworzą odrębny (samodzielny) świat rzeczy lekkich, wolnych od myśli i znaczenia; (b) gdy słowa przylegają do rzeczy tak bardzo, że nie ma między nimi żadnego dystansu, że słowo przylega zawsze do tej samej, konkretnej, jednostkowej rzeczy, wówczas klej myśli jest w ogóle zbędny; myśl nie ma wtedy zastosowania, przyłożenia”.* (s. 85–86)

Czasami dech zapiera: rzecz lekka – rzecz ciężka, świat ciężki – świat lekki, odsuwanie słów od rzeczy, spadanie słów na rzeczy, przyleganie słów, wysychanie myśli, przyłożenie myśli, klej myśli łączący słowa i rzeczy... Ten obrazowy język bliski mowie codziennej, rzadko w filozofii stosowany, pozwala jednak czytelnikowi i słuchaczowi łatwiej zrozumieć i zapamiętać treść wykładu, wykładu niebanalnego – bo który z ortodoksyjnych materialistów godził by się na włączanie w „ludzkie ciało” tych wszystkich środowisk wyliczonych przez Autora?! **Lecz Profesor wie, co robi: modyfikuje tradycyjną formułę materialistycznego światopoglądu, według którego człowiek jest odrębnym bytem obok innych bytów odrębnych, podobnie jak**

w większości teorii ontologicznych – i materialistycznych, i idealistycznych. Tu, u Profesora Cackowskiego, jest jedna całość i nie ma miejsca na poszukiwanie jakichś mitycznych bytów o jakimś swoistym, odrębnym statusie ontologicznym, któremu można by przypisać pochodzenie, na przykład, boskie.

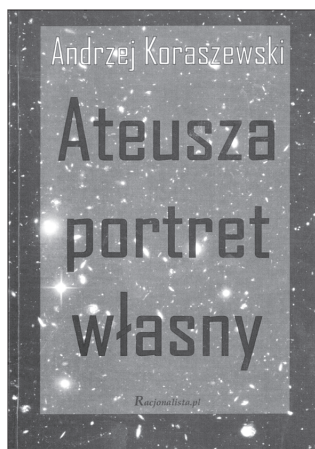
Powtórzmy za Autorem: zasadniczą treścią poszukiwań filozoficznych nie jest, po prostu, stosowanie znanych zasad porządkowania ciągle rosnącej różnorodności wiedzy, lecz szukanie **nowych zasad**, czyli **nowej rozumności, nowej racjonalności** (s. 80). Czyli – nie powtarzać! I filozofowie z pasją poszukują, tworzą nowe zasady przeciwdziałając w ten sposób groźnemu drętwieniu kultury umysłowej. Z owej filozoficznej aktywności coś pożytecznego czasami wynika. Bywa jednak, zauważa Autor, że twórcze zapędy filozofów przekształcają się we frazeologiczne pustosłowie – a wtedy jest niedobrze. (Anatol France zauważył zgryźliwie o pewnym filozofie, że potrafił on, gdy zechciał, przejść od myślenia sensownego do bezsensownego aż do zatracenia się w zupełnej bezrozumności). W naukach kontrolowalnych jest jednak nieco inaczej – tam nie ma takiej swobody łamania zasad, bo bez tych pożytecznie już utrwalonych nauka w ogóle nie mogłaby istnieć. Natomiast dobrze jest, gdy naukowcy chcą i mogą pożytecznie adaptować do nauki zasady nowe zaproponowane przez filozofów.

Książka Profesora Cackowskiego jest dużym, erudycyjnym dziełem nawiązującym do imponująco obszernej literatury i poważnego kanonu nazwisk. Proszę czytelnika, aby nie traktował niniejszej noty jako wystarczającej prezentacji książki. Pozwoliłem sobie na osobistą wypowiedź pod wrażeniem jej lektury. Książka ma dziesięć rozdziałów i aby wyrobić sobie opinię o jej wartości i wiele się z niej nauczyć, trzeba ją uważnie przeczytać. Zmusza do przemyślenia wielu utartych poglądów. I bardzo dobrze!

Dionizy TANALSKI

Andrzej KORASZEWSKI

Ateusza portret własny, Wydawnictwo: Racjonalista, Wrocław 2010, s. 308.



Holizm ateizmu

Książka A. Koraszewskiego jest pozycją ciekawą, niestandardową na polskim rynku wydawniczym, a jednocześnie nie-

jednoznaczna i tym samym trudną do sklasyfikowania. Porusza w siedmiu częściach kilka podstawowych problemów ściśle lub mimochodem tylko łączonych powszechnie z pojęciem ateizmu. Dotyczy to zwłaszcza dwóch ostatnich części całości zatytułowanych odpowiednio: „Zderzenie cywilizacji” i „Antysemityzm”. **Jest to więc propozycja – zwłaszcza w polskim kontekście poruszanych w książce zagadnień – zajmująca się oprócz filozoficzno-światopoglądowymi aspektami nie-wiary w bogów, laickością i agnostycyzmem przestrzeni demokratycznego, pluralistycznego i nowoczesnego państwa, zagadnieniami z pogranicza polityki i etyki, historii idei i teologii, a nawet poboczami czy peryferiami czegoś co nazwać winniśmy racjonalnością współczesnej cywilizacji Zachodu, dziedzictwem poświeceniowym dzisiejszej kultury czy najszerzej traktowanej tzw. „poprawności politycznej” (oczywiście bez aksjologicznych konotacji).**

A. Koraszewski pisze jasnym, przejrzystym i przystępnym językiem. Tezy stawiane są wyraźnie, wnioski wyciągane logicznie i jednoznacznie. Porusza odbiorcę holistyczny i szeroki zakres omawianych zagadnień (choć jak wspomniano niektóre problemy mogą wydawać się niekompatybilne z tematyką i zakresem pojęcia ateizmu). Zwłaszcza pierwsze części książki dają czytelnikowi pełny obraz ateusza polskiego i jego stanowiska do świata religijnego, świata

mitów i irracjonalnych rytuałów, do rzeczywistości magiczno-postmodernistycznej współczesnej Polski.

Autor stawiając jednoznacznie tezę o diametralnej różnicy między ateizmem, a światopoglądem teistycznym – według niego ateizm to sposób życia, to metoda opisu świata nas otaczającego, nie żadna odrębna forma wierzeń religijnych, gdzie wiarę w bogów zastąpiono inną, tej samej co one proveniencji, ideą – potwierdza niejako myśl prof. L. Kołakowskiego konkludującą, że „...*Wiara jest prawomocna. Niewiara jest prawomocna. Nie są to dwa sprzeczne wzajemnie korpusy doktrynalne, dwa zbiory twierdzeń, ale raczej przeciwstawne postawy umysłowe i moralne*”. A. Koraszewski odpowiada tym samym wszystkim krytykom i antagonistom ateizmu (a tych jest niesłychanie wielu w Polsce) o jego rzekomej ubogości intelektualnej, bezwartościowości, krypto-naukowości czy amoralności.

Uderza jednak w odbiorze książki nadmierna wiara Autora w jednoznaczność oraz tożsamość demokracji, wolności i pluralizmu z postępem, racjonalizmem i tym co M. Weber nazywał „desakralizacją realności”. Równoczesne przekonanie o niechybnej przynależności (immanentnej naszej polskiej tradycji) kraju nad Wisłą i Odrą do kultury i obediencji Zachodu tą nadmierną wiarą także trąci.

Ateizm na podstawie opinii A. Koraszewskiego można podzielić (ze względu na korzenie i źródła) według następujących kryteriów: empiryczno-rozumowy, antykle-rykalny, ideologiczny (postkomunistyczny), scjentyistyczny, humanistyczno-antropologiczny, agnostyczny (z punktu widzenia jurystyki oraz zasad demokratycznego i laickiego państwa), naturalistyczny (anty-hierarchiczny).

Są to wszystko kompatybilne, współgrające ze sobą elementy, rzutujące na wybory czy ewolucję postaw pojedynczego człowieka, składające się w jedną, wielką całość. Przedstawiony podział ma charakter teoretyczny i subiektywny.

Można polemizować z Autorem co do tezy, iż upadek systemu komunistycznego nie ma nic wspólnego z kryzysem i uwiędnięciem idei oświeceniowych, lewicowych, postępowych na całym świecie (a przede wszystkim w Europie Zachodniej). Otóż krytyka modernizmu, nauki, a przez to i podstawowych idei Oświecenia miała miejsce od bardzo dawna, ale w drugiej połowie XX wieku przybrała formę zorganizowanej kruczaty – zwłaszcza w filozofii francuskiej.

To właśnie wspomniana krytyka, podejmowana przede wszystkim przez takich reprezentantów sceptycyzmu teoriopoznawczego i ideowych przeciwników Oświecenia jak R. Aron, A. Besancon, F. Furet, P. Gueniffey czy F. Rouvillois utworzyła z jednej strony drogę do humanistyki postmodernizmowi i dekonstrukcji, a z drugiej – podważając zaufanie do rozumu, racjonalizmu, nauki gloryfikowała pośrednio irracjonalizm, para-naukę, emocjonalizm, spirytualizm, a w dalszej kolejności – powszechność kabały, tarotów, wróżb, zaklęć i innego „szamaństwa”. Stąd już tylko krok do popularności fundamentalizmu, purytanizmu i wszelakiego obskurantyzmu religijnego.

W ogóle trzeba stwierdzić – i to pośrednio widać z kart książki A. Koraszewskiego – że irracjonalizm, filisterstwo, kołtuństwo i obskurantyzm są w natarciu. I nie tylko w Polsce.

W tej mierze należy podkreślić, że spojrzenie głównie na islam jako jedyne i głównego rozsiewcę dziś na świecie tych, wyżej wymienionych, elementów kultury człowieka, jako synonimu terroryzmu i opresji religijnej jest przejawem stanowiącym stanowiskiem.

Terroryzm zrodzony z fanatyzmu religijnego dotknął – i tak było od początków historii, gdyż nietolerancja, purytanizm, ortodoksja zawsze rodzą koniec końcem przemoc wobec „Innego” – wszystkie religie, zwłaszcza te zwane światowymi. I widać to dokładnie na ekranach telewizorów, czyta się o tym w gazetach, ogląda w internecie. Tak więc nie tylko islam jest zarażony tą groźną chorobą.

Fundamentalizm w religiach monoteistycznych jedno ma imię. I jest tak samo groźnym: islamski, judaistyczny, buddyjski czy chrześcijański. Warto tu zacytować

wymienionego wcześniej rabina Zvi Moshe Neriaha, który w telewizyjnej dyskusji z obywatelem państwa Izrael U. Huppertem (współpracownikiem RES HUMANA) powiedział: „Pan jako nie ortodoks może być tolerancyjny, może Pan być tolerancyjny wobec tych którzy spożywają nie kosherne jedzenie, wobec Żydów gwałtownych w szabas, nawet wobec mieszanych małżeństw. Ja jako ortodoks mogę być tylko cierpliwy”. W tym passusie jest zarówno stoickie „wycofanie” do wnętrza fanatyka i purytanina, jak i groźba. Cierpliwy do czasu...

Te słowa mogły paść równie dobrze z ust A. al-Zarkawiego, o. T. Rydzyka, J. Swagarta, J. Falwella, św. J.M.E. de Balaguera, wielbnego W.F. „Billy’ego” Grahama czy kard. Ch. Schoenborna. Chodzi o ich uniwersalny (przeciwny tolerancji i zarazem deprecjacji „Innego”) wymiar, sposób postrzegania i opis współczesnego świata.

Książka A. Koraszewskiego, mimo a może właśnie dzięki swej dyskursywności, jest pozycją niezwykle cenną, pobudza do myślenia, do zajęcia stanowiska, do ustosunkowania się do podstawowych problemów dzisiejszej rzeczywistości. Nie pozwala być obojętnym i ukazuje, iż w rzeczywistości zglobalizowanego świata w zasadzie wszystko jest ze sobą w jakimś stopniu powiązane i od siebie zależne.

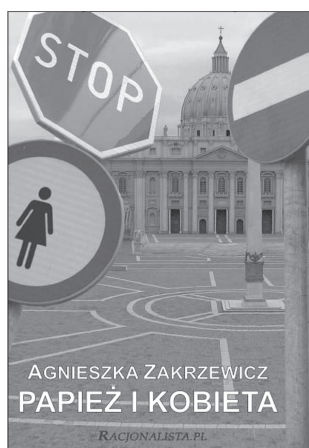
Czytając tę pożyteczną, interesującą intelektualnie i ciekawą poznawczo książkę pobrzmiwać muszą w uszach słowa B. Russella mówiące – i to jest clou polskich debat i kontrowersji wokół pojęcia ateizmu oraz ateistów – że nie można mieć żadnego szacunku dla uznawanych autorytetów, bo zawsze można znaleźć inne autorytety. To podstawowa prawda rodząca i sprzyjająca myśli ateistycznej, niepokornej i autentycznie wolnej, łamiącej tabu, obalającej mity i zrywającej intelektualne kajdany (które na swój umysł nałożył w procesie historyczno-ewolucyjnym sam człowiek).

Zachęcam do przeczytania tej książki.

Radosław S. CZARNECKI

Agnieszka ZAKRZEWICZ _____

Papież i kobieta. Wydawnictwo Racjonalista, Wrocław 2010.



Kobieta maluje papieża

Dwa tysiące kilometrów od Watykanu. Klatka po klatce przemykają utrwalane obrazy: Jan Paweł II machający z okien i

białych ołtarzy; Ojciec Święty dotykający w skupieniu skroni; czasami humorystycznie – z palcami w lornetkę. Gołębie szarzeją.

Im bliżej siedziby papieża, tym obrazy stają się ostrzejsze – Jan Paweł II ściskający dłoń Pinocheta, zawiedziony „Solidarnością” polityk, człowiek bardzo schorowany. Agnieszka Zakrzewicz – polska korespondentka w Rzymie, przez 9 lat przyglądała się fenomenowi Karola Wojtyły. Powstała książka łącząca niewyraźne elementy w krytyczny obraz.

Przygoda autorki z niepoprawnie politycznym malarstwem zaczęła się w latach 90. Wyrzucono ją z polskiej sekcji Radia Watykańskiego w Rzymie, gdy podjęła temat cenzurowania w Watykanie sztuki starożytnej. Od tego czasu na łamach „NIE”, „Trybuny”, „Polityki”, czy „Racjonalisty” kreśli ciemniejszą stronę pontyfikatu Jana Pawła II. Wątki dotyczące światopoglądu, spraw obyczajowych oraz polityki wewnętrznej i zagranicznej Watykanu.

Zostawmy obyczaje. Dla wolnomyśliciela krytykowanie katolika za sam fakt bycia katolikiem może być niezręczne. W tej książce in-

teresujące jest ukazanie papieża jako wytrawnego polityka. W imię walki z systemem komunistycznym Karol Wojtyła wszedł np. w dialog z reżimem Augusto Pinocheta.

marginalizując jednocześnie utożsamiane z marksizmem opozycyjne środowiska teologii wyzwolenia. Tymczasem w Polsce murem stanął za „Solidarnością”. Z książki dowiemy się jednak, że według Jana Pawła II i ta nie stała na wysokości zadania...

Wbrew soborowym ustaleniom Jan Paweł II nie zawsze był wzorem ekumenizmu. Książka *Papież i kobieta* szkicuje ramy konfliktu z Kościołem Prawosławnym. Watykan miał leczyć apostołskie niepowodzenia w Rosji nachalnym prozelityzmem, tworzeniem nowych diecezji i traktowaniem jej jak zacofanej religijnie satelity. W rezultacie Rosję musieli opuścić duchowni katolicy.

Obraz Zakrzewicz ujmuje Watykan z perspektywy polityki wewnętrznej. Dowiemy się, kto był ghostwriterem Jana Pawła II i za co abp. Dziwisz ganił kard. Ratzingera. Obecny papież miał mówić głośno o dymisji swojego poprzednika. Wojtyła nie zdecydował się odejść. Odradzono mu pod groźbą powrotu „antypapieży”.

Niektóre z tych kwestii poruszyli pod koniec lat 90 Carl Bernstein i Marco Politi. Jednak ich książka *Jego świętobliwość Jan Paweł II i nieznana historia naszych czasów* została w Polsce okrojona. Pod nóż wydawnictwa Amber poszły m.in. kwestie zdrowia papieża, klasztoru w Oświęcimiu, śmierci 4 zomowców w kopalni „Wujek”. Z wywiadów Agnieszki Zakrzewicz z Marco Politem wynika, że Polacy wyszli przed szereg, nawet Watykan nie oczekiwał sprostowań. Autorzy wygrali proces z wydawnictwem.

Autorka prezentuje bogate w fakty teksty o moralności seksualnej, celibacie, kapłaństwie kobiet, homoseksualizmie. Analizuje choroby papieża, czy proces masowej produkcji świętych. Udało jej się uchwycić z bliska obraz Kościoła katolickiego jako podmiotu działań politycznych. Odjęła argumentów tym, dla których jest on tylko mistyczną wspólnotą wiernych. Odkryła ideologiczną nadbudowę organizacji posiadającej strategiczne cele. Na początku pontyfikatu Jana Pawła II było 42 biskupów polskich, a pod koniec około 136. Nie powinno nas to jednak dziwić.

Joanna RUTKOWSKA

DO CZYTELNIKÓW I WSZYSTKICH ZAINTERESOWANYCH NASZYM CZASOPISMEM

RES HUMANA jest jednym z niewielu w Polsce czasopism podejmujących złożone kwestie ludzkiego życia tak, aby było ono godne jego człowieczeństwa; krzemy przekonanie o słuszności myślenia racjonalnego; opowiadamy się po stronie wartości lewicowych.

Wszystkich zainteresowanych tymi treściami zachęcamy do czytania, także do prenumerowania naszego czasopisma. Roczna prenumerata czasopisma wynosi 40 zł.

Radzimy, aby stosowne wpłaty realizować w drodze przelewów na konto bankowe redakcji 461160220200000000515514. Można to też czynić w drodze przekazów pocztowych kierowanych na adres redakcji.

CZYTANIE I PRENUMEROWANIE NASZEGO CZASOPISMA TO DOBRY WYBÓR.

Redakcja RES HUMANA



Rys. Marek Chaczyk

WŚRÓD CZASOPISM

Nareszcie: 16 września br. drewniany krzyż sprzed Pałacu Prezydenckiego, postawiony tam nielegalnie przez harcerzy (ciekawe: z czyjej inspiracji?) i adorowany przez różne grupy sekciarzy sponsorowanych przez PiS, został w końcu przeniesiony w bardziej właściwe dla niego miejsce.

Fakt ten odnotowały media. Jarosław KURSKI, pierwszy zastępca redaktora naczelnego „Gazety Wyborczej” (nr z 17 września 2010) w komentarzu *Koniec szantażu* napisał:

„To dobra wiadomość. Wreszcie zdarzyło się to, na co czekała większość Polaków zmęczona wielomiesięcznym gorszącym spektaklem. W tej sprawie Kościół umył ręce, podobnie jak władze Warszawy. Kancelaria Prezydenta została sama. Oczywiście wszystko mogło się odbyć inaczej, bardziej godnie, gdyby respektowano porozumienia i powagę religijnego symbolu. Ale nie pozwolili na to samozwańcy <obrońcy> krzyża, i fanatyczni wyznawcy PiS, którzy w każdą miesięcznicę tragedii skandują prezesowi <Ja-rek-Ja-rek>. Ten krzyż dawno przestał upamiętniać ofiary. Naprawdę zaś upamiętnia ideologizowanych żałobników.

Wskazał na to wczoraj prymas abp Józef Kowalczyk, który zaapelował, by nie robić z krzyża <przetargu dla osiągnięcia celu, który nie ma nic wspólnego z takim chrześcijańskim uszanowaniem zmarłych>. >No bo co? <Mamy szanować modlących się tam czy mamy szanować zmarłych?> dodał prymas.

Dla Jarosława Kaczyńskiego ten krzyż i miejsce po nim to bastion polityczny. Uczucia innych ludzi – zwłaszcza bliskich i rodzin ofiar katastrofy – nie mają znaczenia. Żądanie dodatkowego upamiętnienia przed Pałacem zmarłego prezydenta jest politycznym nadużyciem. Polskie państwo i społeczeństwo uczciły i wciąż pamięć ofiar katastrofy – w szczególności prezydenckiej pary – w sposób najbardziej godny, jaki tylko można sobie w Polsce wyobrazić. Na Wawelu.

O co więc chodzi? – czytamy w komentarzu. Chodzi o nieustanne kwestionowanie demokratycznego wyboru prezydenta Komorowskiego i zatrucie życia zbiorowego obłądną spiskową teorią o rzekomym zamachu w zмовie z władzami Rosji. Chodzi o nieustanne obarczanie odpowiedzialnością za smoleńską tragedię premiera Tuska i prezydenta Komorowskiego, po to by uzasadnić chore żądanie usunięcia ich z życia publicznego.

Trzeba było temu wreszcie położyć kres”.

Ale odnotował też owo przeniesienie krzyża Jarosław Kaczyński, który tegoż dnia wieczorem przybył rządową limuzyną w asyście rządowych ochroniarzy pod Pałac Prezydencki, aby wymamrotać coś pod nosem do ustawionych w orydyku mikrofonów i kamer i odjechać z piskiem opon w siną dal.

Parę dni wcześniej pan prezes Jarosław Kaczyński był szczególnie fetowanym gościem Zjazdu Śniadkowej „Solidarności” i tam – jak zwykle – popuścił cugle swej bujnej (mówiąc najdelikatniej!) wyobraźni. Orzekł najpierw, kto tak naprawdę był i będzie symbolem „Solidarności”: jest i będzie nim brat Lech Kaczyński, bo to on – a nie ówczesni główni doradcy związku i Lecha Wałęsy – najlepiej radził jak obalić komunę, bo tamci doradzali kapitulację wobec niej.

Wypowiedź ta wywołała burzę, stała się głośna, także w mediach. Odnosząc się do niej Tadeusz Mazowiecki w rozmowie z red. Janiną PARADOWSKĄ w Radiu TOK FM (2 września 2010) stwierdził:

„Byłem zdumiony. Jarosław Kaczyński po tym wszystkim podszedł do mnie i powiedział: <Tadeusz, to nie o tobie myślałem>. Zapytałem: <A o kim?> „O tym, co zmarł”.

O Bronisławie Geremku, tak?

Tak. Powiedziałem mu głośno, żeby wszyscy, którzy stali koło nas, słyszeli: <Powiedziałeś nieprawdę>. Uważam ten fragment wstąpienia Kaczyńskiego za niegodziwość i nikczemność. Oburzenie Henryki Krzywonos było naturalne również dlatego, że ona odczuwała to jako niegodne w stosunku do pamięci zmarłego Lecha.

Pięć lat wcześniej podczas obchodów 25-lecia <S> Lech Kaczyński w Warszawie publicznie dziękował Bronisławowi Geremkowi i mnie, te dwa nazwiska wymawiał w kontekście Porozumień Sierpniowych. Wcielanie się teraz w Lecha Kaczyńskiego, uderzanie w imieniu jednego nieżyjącego w drugiego nieżyjącego uważam za nikczemność”.

I jeszcze „PRZEGLĄD”. Jerzy DOMAŃSKI, redaktor naczelny tego ważnego, opiniotwórczego tygodnika, podjął też w swoim komentarzu zatytułowanym *Samotność prezydenta* sprawę przeniesienia krzyża spod Pałacu Prezydenckiego i różnych wynikających z tego faktu implikacji. Czytamy: „Bronisław Komorowski mógł się przekonać, że przy rozwiązywaniu trudnych problemów będzie skazany na samotne decyzje i osobiste ryzyko. Tam, gdzie poglądy są mocno spolaryzowane i gdzie rządzą emocje podkreślane przez opozycję, nie ma co liczyć na realne wsparcie instytucji rządowych, kościelnych czy samorządowych. Decyzje trzeba będzie podejmować na własne ryzyko polityczne, bez zbędnej kalkulacji i kunktatorstwa. Przeniesienie krzyża aprobejuje większość Polaków...”.

Oby, westchnijmy, rosnąca większość Polaków aprobowała kolejne decyzje prezydenta Bronisława Komorowskiego. Wówczas maleć też będzie jego samotność.

Wybrał

Ksawery S. PIWOCKI

OPINIE OBYWATELSKIE

Henryk Jan MIELCAREK

Poznań

W toczącym się zatargu pro-PiS'u z anty-PiS'em Kościół hierarchiczny może i powinien odegrać ważną rolę. Niestety, nie potrafił lub nie chciał przemówić do rozsądku protestującym. Boi się najwyraźniej odciąć od mąciwodów życia społecznego. Obawia się utracenia zaufania owych, co swoją poręką obdarzają znanego redemptorystę i wodza opozycji. A zarazem wie, że liczniejsi, ale skromniejsi od krzykaczy *ubodzy duchem* wierni i tak przyjdą w niedzielę do kościoła. Nie wyrzekną się przecież wiary dla małosłownych, przyziemnych pomówień i sporów inspirowanych przez warcholów. Garstka manifestantów w gorszącej sytuacji powinien uderzyć się w pierś. Niech prezes PiS każdego 10-go dnia miesiąca modli się za tragicznie zmarłych. Również za siebie. Przecież to przez niego oficjalny Kościół, który opowiada się za zjednoczeniem chrześcijaństwa całego świata, zarazem popiera warcholstwo, zmierzające do rozbicia Kościoła. Najpierw w Polsce. Bo *wódz* swoim zwolennikom nie pozwalał ruszyć z miejsca niepoświęconego krzyża a równocześnie nie pospieszał z potępieniem innego swego zwolennika, sprawcę niebywale plugawego sprofanowania tablicy pamiątkowej z poświęconym na niej krzyżem. Czy tak ma wyglądać – według wodza i propisowskich manifestantów – Prawo i Sprawiedliwość?

Nadzieja na porozumienie i całkowite zakończenie sporu błędnie. Bo *wódz* świadomie dąży do konfrontacji. Zapomniawszy o swoim wyborczym hasle >Polska jest najważniejsza<, przekroczył już na słoniach nieuzasadnionych żądań Alpy zdrowego rozsądku. Nie tylko jako Hannibal wkracza na polski dziedziniec; jego zaś polityczni pochlebcy dążą do terroryzowania sumień.

Dokończenie na III s. okładki

Z głębokim żalem żegnamy zmarłego po długiej i heroicznej walce z nieuleczalną chorobą 13 września 2010 r.

mgr Janusza PATRYASA

zasłużonego dla kultury Ziemi Śląsko-Zagłębiowskiej, wybitnego działacza naszego ruchu – członka Rady Krajowej i wiceprezesa Rady Regionalnej w Katowicach, inicjatora i do końca swych dni kierownika – redaktora strony internetowej Towarzystwa, ważnego instrumentu wiedzy i informacji o naszym ruchu.

Pamiętamy Go jako Człowieka wielkiej pracowitości, skromności i życzliwości, Człowieka, o którym napisano, że żył „w warunkach ostrego dyżuru własnego sumienia”.

To wartości godne najwyższego szacunku: będziemy o nich stale pamiętać, pamiętać o naszym Drogim Przyjacielu.

Cześć Twojej pamięci.

Rada Krajowa Towarzystwa Kultury Świeckiej
im. Tadeusza Kotarbińskiego
Redakcja RES HUMANA

OPINIE OBYWATELSKIE

Dokończenie ze s. 52

Walentyna MIODUSZEWSKA

Warszawa

...Obchodziliśmy niedawno 90. rocznicę bitwy warszawskiej. Jej współcześni okrzyknęli ją „Cudem nad Wisłą”. Dziś fachowcy, rzeczowo analizując to wydarzenie i doceniając jego historyczne i cywilizacyjne znaczenie, zgodni są co do tego, że cudu nie było. Była natomiast świetnie obmyślana strategia i taktyka oraz bohaterska gotowość obrońców.

Podobnie, po latach, zachowując trzeźwy dystans, ocenia potomni katastrofę smoleńską. Tu zapewne zdarzył się tragiczny splot okoliczności i brak wyobraźni w ustalaniu listy pasażerów, niezadowolające logistyczne przygotowanie lotu, fatalna pogoda i niewątpliwie stresująca atmosfera na pokładzie samolotu.

Na trzeźwo trzeba także zgodzić się z tezą, że gdyby nie wydarzyła się katastrofa, Lech Kaczyński w jesiennym terminie nie miałby szans a reelekcję. Nieprawdą jest, że od początku po wyborach 2005 r. prezydent i jego partia byli atakowani przez opozycję. To Jarosław Kaczyński ciągle walczył i skarżył się na ataki, których nie było. Sam się podniecał bogatym słownictwem...słownictwem. A ci, którzy odważyli się mieć inne zdanie niż on, to byli wrogowie, nie tylko jego, ale i kraju – po prostu ZOMO. Ludzi świadomych obrażał i przerażał, tymi niezorientowanymi manipulował.

Jarosława Kaczyńskiego (ale i jego tragicznie zmarłego brata) obserwowałam i obserwuję od 1989 r. Nie mam dziś wątpliwości, że to człowiek o szczególnej psychice: wygórowana samoocena, przemożna żądza władzy, mizantropia i chorobliwa podejrzliwość. Straszliwym ciosem dla niego stała się, co oczywiste, śmierć brata i przegranie wyborów prezydenckich. Dziś to już człowiek o poważnym zakłóceniu swej niespokojnej psychiki i stąd jego dwie maski: złamanego bólem człowieka pragnącego pokoju, patrioty, kokietującego nawet lewicę, aby zdobyć jej głosy. Teraz, to przedziwne oblicze, zniekształcone przez traumę człowieka przegranego. Stąd bezsensowne jego ostatnie wypowiedzi, reakcje, zachowania, jakże nieracjonalne, a przez to i groźne.

Co do o. Rydzika to także obserwuję go od dziesięciu lat. Jego cechą jest też pewność własnej mądrości i żądza władzy – dążenie przez „rząd dusz” do rządzenia państwem. A jego wpływy, dzięki talentom menedżerskim i rosnącemu poparciu kleru, rosą w zatrważającym tempie. Jego zachwalani jako „najmądrzejsi” goście Radia Maryja, opowiadają słuchaczom o wielu sprawach w sposób straszliwie obniżający poziom debaty publicznej, jątrzący, zaściankowy, ksenofobiczny, rażąco sprzeczny z duchem współczesnego czasu, w istocie szkodzący Kościołowi...

Bolą mnie te wszystkie ostatnie wydarzenia – z krzyżem na Krakowskim Przedmieściu, ze skandalicznym zachowaniem wielu uczestników ostatniego Zjazdu związku zawodowego Solidarności, bołą dlatego, że nieważa radość i dumę Polaków z dzieła dokonanego w roku 1980 i w latach kolejnych, które uwolniło nas z systemu niedemokratycznego i pozwoliło wejść do wielkiej wspólnoty europejskiej i światowej.

Stanisława Szymkiewicz

Z NOWEGO TOMU WIERSZY

NA DROGACH

Na drogach
krótkich i długich
polach szerokich
i wąskich
tyle człowieczych ruin
i tyle wpiekłowstapięń...

A kiedy czasem
w pomroce
nadzieja gwiazdę zapali –
na krótko zamigoce
zgasi ją władczy Kain
grudzień 2005

MÓJ ŚWIAT PIEŚNI

Chciałam mieć życie
jak wiersz
w rytmach ciepłych
wzruszeń i fraz

Chciałam prześpiewać
jak pieśń
mój czas wiosny
i letni czas

A poniosłam
ciężar milczenia
bo trzeba było go znieść

I – zostały nuty
zwątpienia –
Czy świat pieśni
ma jeszcze sens?
3 października 2005

* * *

Piszę
rwę karty na strzępy
ostrymi zębami słów
Gniewem
uderzam, jak pięścią
w miedziane czoła kópów

Wydrwią
wyśmieją, że poza
tandetny, tani gest ...
Milczeć?
Cóż słowo dziś może
wszak tylko słowem jest ...

Pamięć
gorzkiej prawdy w słowie
wytrzyma burzę lat

Piszę
cokolwiek mi powie
ten szalejący świat
listopad 2004

Wiersze autorki związanej z Ziemią Radomską, pochodzą z jej niedawno wydanego tomu poetyckiego DOKĄD IDZIEMY? (staraniem Fundacji Kultury Jana Kochanowskiego, Radom 2009), o którym Dorota Koman napisała w słowie wstępnym, że to „tomik dojrzałej kobiety, w której jeszcze tyle młodzieńczego buntu, tyle pytań i ciekawości świata, zachwyty i wiary – także tej, która mówi jaką wartością jest ubieranie myśli w słowa i jak ogromną wartością jest dzielenie się nimi”.

Adam Kędzierawski

Z BRULIONU AFORYZMÓW

Na wszelkiej lichej glebie niewiedzy wyrastają i owocują dorodne chwasty

* * *

W pogodzie i małżeństwie zdarzają się zmiany często zaskakujące

Autor aforyzmów jest pedagogiem, długoletnim nauczycielem szkół na Ziemi Lubelskiej, związany z działalnością humanistycznego ruchu świeckiego.